

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

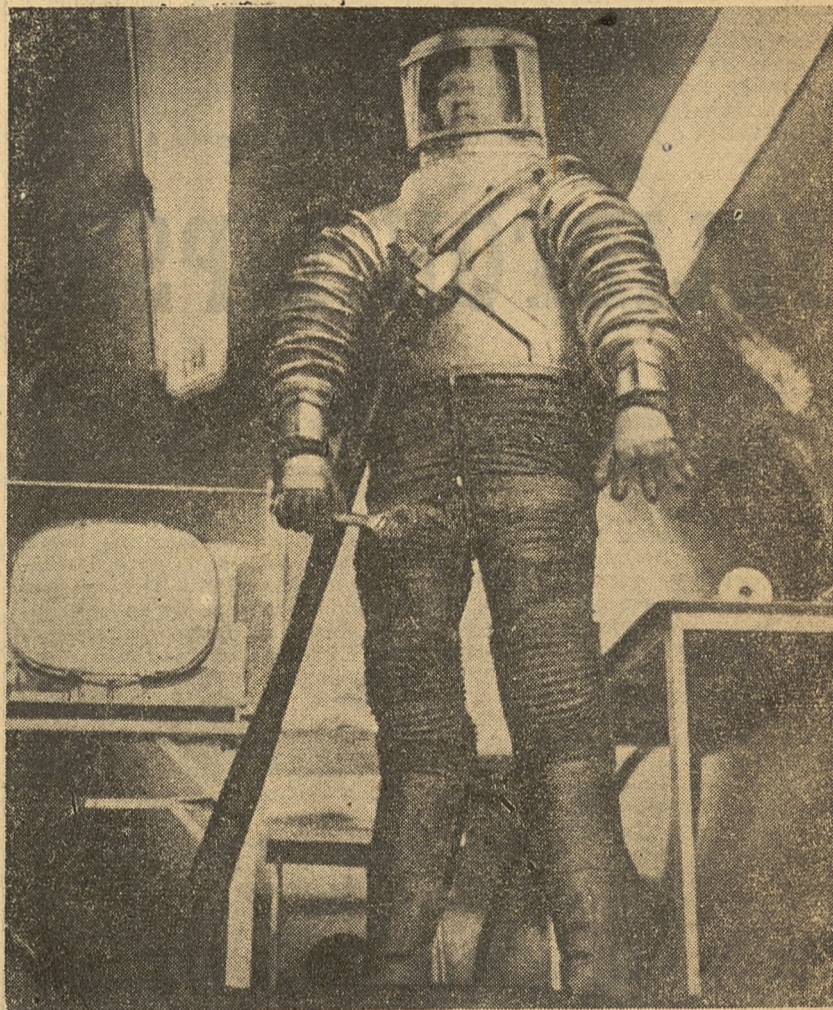
KRAKÓW

17. XI. 1957 r.

Nr 28

CENA ZŁ 1.50

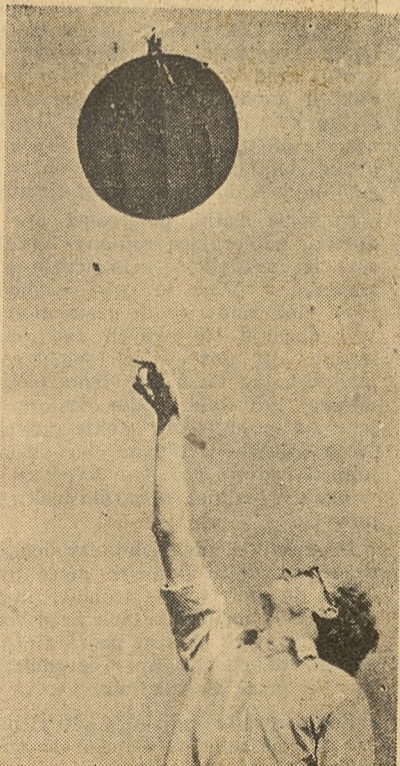
Nasz
foto-
reporter
donosi



Amerykanie musieli przerwać swe doświadczenia z ludźmi (dobrowolnymi „królikami doświadczalnymi”) w specjalnie zbudowanej komorze, w której starano się stworzyć warunki podobne do tych jakie zapanują w czasie lotu międzyplanetarnego. Przypominają się słowa Pawłowa „Im więcej doświadczeń na zwierzętach — tym mniej na ludziach”. Za mało jeszcze było doświadczeń na zwierzętach, aby można było pozwalać ludziom na niebezpieczne eksperymenty.



WJaponii aby zapobiec epidemii grypy azjatyckiej wśród młodzieży — uczniowie i uczennice słuchają lekcji w maskach. Tegorocznej jesieni grypa, jak to dobrze wiemy z własnych doświadczeń, dała się całemu światu mocno we znaki.



Częste pojawianie się tajemniczych latających talerzy (ostatnio zanotowane np. we Włoszech) skłoniło modelarzy angielskich do urządzenia... zawodów. Konstruktorzy modeli samolotowych wystąpili w tych zawodach z modelami „latających talerzy”. Oto jeden z zawodników. Na marginesie tej historyjki warto dodać, że w Krakowie na melodię słynnej piosenki „Gorąca czekolada” dzieci śpiewają piosenkę o „Sputniku”. Żyjemy pod znakiem podróży międzyplanetarnych.

WZakopanem spadł śnieg i narciarze rozpoczynają sezon, a przecież jeszcze kilka dni temu na Gubałówce panowały upały. Jesień chyli się ku zimie — ten przełom starał się zademonstrować fotografik w zabawnym zdjęciu, które reprodukuje.



Problem podróży międzyplanetarnych zajmuje tej jesieni cały cywilizowany świat. Jak wiadomo doświadczenie radzieckie z „Łajką” przekonało u-

czonych że zwierzęta wyższe dobrze wytrzymują wielkie przyspieszenia, nieodłączne od podróży w przestrzeń kosmiczną. A

jak na duże przyspieszenia reaguje człowiek? Dobrowolnym królikiem doświadczalnym w tej dziedzinie jest lekarz lotnictwa

amerykańskiego John Stapp. Kazał się zamknąć w rakiecie, rozpędzić pojazd do szybkości 1000 km na godzinę, a następnie w

ciągu jednej sekundy go zatrzymać. Oto zdjęcia z tej podróży ukazujące reakcję człowieka na wielkie przyspieszenia.

STANISŁAW L E M

(DOKOŃCZENIE)

Do Lipska przyjeżdżamy wieczorem, w strumieniach deszczu, zabarwionych na wszystkie kolory tęczy światłami neonów. Tutaj nareszcie wybucha ich — jeśli nie potop — to w każdym razie zwielokrotniony gajzer; miasto jest tuż po Targach i ślady makijażu, jakim było przybrane na ów okres świetności, jeszcze nie znikły. Robimy kilka okrążeń ulicami śródmieścia, lecz ulewa wzmacnia się tak że o jakimś „zwiedzaniu”

FELIETON LIPSKI

trudno wręcz myśleć; wystarczy wsiąść z auta i wznieść głowę, aby do oczu, chciwych wrażeń turystycznych, nalało się wody. A zatem znów nocne poszukiwanie kwater w prywatnym mieszkaniu, zadziwiająco podobnym do tego, w którym zatrzymaliśmy się w Dreźnie; pokój oświetlony ciemną żarówką (oszczędność!), wstrząsająco czysty, potężne łóżko małżeńskie z pierzynową zabudową, łazienka z piecem na drzewo (choć na ulicy płoną gazowe latarnie!). Nazajutrz od rana rozpoczyna się ciężki znoj zwiedzania. Stare to miasto, Lipsk, i stoi niemal nie uszkodzone; wokół centrum liczne domy towarowe, mnóstwo sklepów, wszędzie znaki i ślady niedawno zamkniętych Targów. Pogoda szczęśliwie odmieniła się, można więc puścić się pieszo w labirynt zaułków, gęsto przerywających masywy kamienic, połączonych nadto długimi, pełnymi wystaw pasażami. Potem znów do auta i pędem jedziemy do pomnika lipskiej Bitwy Narodów, wznoszącego swój niemal stumetrowy ogrom z dala od wnętrza miasta. Kolość ten robi przytłaczające wrażenie, jest w nim coś z Giewontu, wzniesionego ludzkimi rękami, tak że trudno nawet zauważyć rzeczywistość wartościową robotę rzeźbiarską. Wracając, zajeżdżamy do starej cerkwi prawosławnej, wystawionej również na pamiętkę bojęw z Napoleonem. Jest to bodaj największa z niespodzianek, czekających mnie w Niemczech. Żyjąca kobieta otwiera boczne drzwi w przedścieniu cerkwi i zza jej obfitej postaci bucha mocna woń kapuśniaku. To popadła, oprowadzająca po czcigodnym zabytku. Wnętrza przepiękne, łączą w dodatku piękno z praktycznością, albowiem cerkiew zawiera niejako dwie nawy, jedną nad drugą; górna, używana w lecie, ma ołtarz, którego malarskiej piękności, pełnej szlachetnego prymitywizmu, nie bodaj nie może dorównać; poniżej mieści się pomieszczenie dla modłów, zimowe, daleko mniejsze, niejako „kameralne”. Udajemy się do podziemnej cerkwi, i tu czeka przybyszka niezwykle wzruszenie: w głębi katakumb leżą trumny żołnierzy rosyjskich, poległych przed stu kilkudziesięciu laty pod Lipskiem, a przed nimi piętrzą się po dziś dzień wieńce, wstęgi i szarfy, złożone przez dowódców radzieckich, którzy zajęli Lipsk w 1945 roku. Niezwykła istotnie jest ta ciągłość historyczna, owe poczucie żołnierskiej wspólnoty w dziejach, które kazano złożyć oficerom państwa tak całkowicie odmiennego od imperium carskiego hołd pańskim na pelu chwały przodkom.

Opuszczamy cerkiew z osobiwym uczuciem, że przez chwilę znajdowaliśmy się wewnątrz wysepki najzupełniej innej, niezmiernie odległej kultury a żegnający nas prozajczny zapach kapuśniaku, do którego wróciła popadła, bynajmniej nie rozwiewa owego nastroju.

Na obiad udajemy się do słynnej piwnicy Auerbacha, uwiecznionej przez Goethego w Faucie, mieszczącej się w podziemiach jednego z wielkich pasaży w centrum, w pobliżu Rynku. Przed wejściem straż trzymają rzeźby — Faust i Mefistofeles. Niestety, muszę wyznać, że kuchnia, jaką miałem okazję wypróbować, nie spełniła moich oczekiwań, nabrzmiałych w związku z historyczno-literacką tradycją lokalu. Na obiad czekamy niesłychanie długo, zaostrozony zaś w ten sposób apetyt ulega gwałtownemu stłumieniu przez potrawy okrutnie przesocone i nad wszelki wyraz niegodne

rozleglejszej sławy. Należy lojalnie dodać, iż nie był to wyjątek z reguły, albowiem kuchnia niemiecka nie zachwyca Polaka; jej zawiesziste dzięki obfitości mąki zupy, jej ciemne, przypalone, zawsze o takim samym smaku sosy, urągające swym wspaniałym, rozkosze zapowiadającym nazwom, jej ciężkostrawne tłuściości długo jeszcze będą mnie nawiedzały w ciężkich snach.

Po tym rozczarowaniu, wyniesionym z czcigodnego lokalu, wracamy na powierzchnię ziemi, aby, w obliczu zbliżającej się godziny odjazdu, z rosnącym pośpiechem, godnym amerykańskiego turysty w Wersalu, rozpocząć coś w rodzaju biegu z przeszkodami poprzez odnotowane w przewodniku osobiwości Lipska. Po jakimś czasie stwierdzam, że nic nie może dorównać wrażeniu wyniesionemu ze złotokopulastej rosyjskiej cerkwi, rezygnuję zatem z całkiem świadomą brutalnością z pozycji je-

szcze nie widzianych i decyduję się na wyjazd.

W mierzchnym dniu jazda autostradą, zrazu zapowiada się monotonnie, podobnie jak droga z Berlina do Lipska. Po jakimś czasie wszakże, gdy ciemności zapadają na dobre, autostrada zakręca na wschód i staje się częścią arterii, łączącej bezpośrednio zachodni Berlin z Republiką Federalną. Rozpoczyna się, mając trwałe dwie godziny, widokowo niezapomniane. Ruch na ciemnej autostradzie jest ogromny. Strumienie aut mkną w stukilometrowym tempie w obie strony. Zwłaszcza na wzniesieniach urzekający jest obraz dwu równoległe pulsujących arterii; auta mijające nas aż po horyzont mrugają i migoczą czerwonymi światełkami, które zapalają się i gasną na samej granicy nieboskłonu jak jakieś ziemskie purpurowe gwiazdy, zato z przeciwnej strony raz po raz wybuchają reflektory wozów lecących naprzeciw; sfoferzy dają sobie wzajem znak blendowaniem świateł, prosząc o ich ściemnienie, i niemal w 100 proc. odzorem jest przygaszony, opuszczony w dół stożek świateł. Dzięki temu unika się niebezpieczeństwa przy tak wielkiej szybkości osłepienia. Co jakiś czas mijamy stojące z małymi światłami na specjalnych parkingowych zakolach autostrady wozy, których kierowcy odpoczywają zbierając siły przed dalszym puszczaniem się w drogę; i my przystajemy na kilka minut. Noc jest wygwieżdżona, powietrze ostre od chłodu. Teraz dopiero gdy wóz stoi o kilka metrów od autostrady, można w pełni ocenić nieustanny ruch na niej któregoś cząstki byliśmy przed chwilą. Kilka łyków gorącej kawy z termosu i ruszamy dalej, nabierając pędu. Znowu opony syczą na szerokich taflach asfaltu, znużony wzrok nieruchomieje w oświetlonym kawałku widocznej przed autem, mżące jak taśma filmowa szosy. Naraz — ależ tak! W świetle dostrzegam doskonale młodą sarnę, przemkającą galopem między nami a następnym autem. Jeszcze chwila lęku — czy nie przejeździe jej wóz, nadciągający właśnie ze strony przeciwnej? Nie, przemknęła szczęśliwie i zapadła w las. Podniecony przygodą sfofer opowiada, że w ciągu dziewięciu lat częściej jazdy na tej drodze miał takie spotkania wszystkiego trzy razy — a więc rzeczywiście miałem szczęście! Ale już błada luna unosi się na horyzoncie: przejeżdżamy przez ławicę niskiej mgły i w oddali ukazują się światła Berlina.



WIETRZYK CZY BURZA?

„Niektórzy twierdzą, że metoda pełnego wypowiedzenia się w dyskusji nie jest zgodna z duchem kampanii naprawy, o której głosiliśmy, że będzie tak łagodna, jak wietrzyk wiosenny. Ale wszyscy wiedzą, że podczas gdy my mówiliśmy o wietrzyku, prawica zaatakowała nas jak burza. Wobec tego kontakt mas musiał mieć również charakter burzy.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

CYBERNETYKA

DZIWNĄ NAZWĄ DZIWNĄ NAUKĄ

NARODZINY I MŁODOŚĆ ELEKTRONU

(Ciąg dalszy).

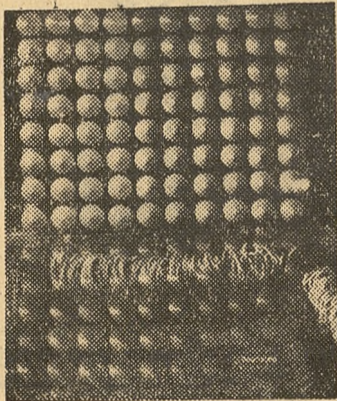
Minęło niedawno sto lat od chwili, gdy mało znany francuski uczoney Masson przepuścił pierwsze wyładowanie elektryczne przez rurkę wypełnioną rozrzedzonym gazem (1853). Zamiast typowej iskry, jaka normalnie „bije” między dwoma biegunami w powietrzu zwyczajnym — w rurce ukazał się jasny blask. W jakiś czas potem Niemiec Henryk Geissler z Tübingen zaczął masowo wyrabiać rurki z rozrzedzonymi gazami świecące w różnych kolorach pod wpływem przepływającego przez nie prądu.

W r. 1869 fizyk niemiecki W. Hittorf za pomocą doskonałych pomp próżniowych zdołał wytworzyć lepsze rurki niż geisslerowskie, obserwując w nich ciekawe zjawiska optyczne spowodowane wyładowaniami elektrycznymi. Podobne badania kontynuował w Anglii słynny fizyk i chemik W. Crookes, znany też jako pierwszy uczoney, który wytworzył sztuczne diamenty. Ponieważ wyładowania te miały kierunek od bieguna ujemnego (katody) do dodatniego, Crookes nazwał je promieniami katodowymi.

Już w roku 1870 Crookes pokazał, że jego promienie posiadają mierzalną pęd i energię, tak że mogły nawet poruszać niewielki wiatraczek, umieszczony w rurce. Dalsze badania wykonane przez angielskiego fizyka J. Thomsona doprowadziły do wniosku, że promienie katodowe są faktycznie strumieniem niezwykle drobnych cząstek o charakterze elektrycznym, które za sugestią Johnstone Stoney'a ohrzczone imieniem „elektronów”.

W rezultacie tych badań uczeni doszli do wniosku, że elektron jest ostatecznie niezmiernie drobnym (elementarnym) ładunkiem elektryczności ujemnej, oraz że posiada masę, wielkość, prędkość i inne cechy jakby niezmiernie drobnej cząstki materialnej.

Elektron nie może nikomu zaimponować swym ładunkiem elektrycznym, najdrobniejszym, jaki w przyrodzie można spotkać. A jego masa, mniejsza 1800 razy od masy najmniejszego atomu (wodoru), jest też niewyobrażalnie drobna. Jeżeli chcemy ją zobaczyć „czarno na białym”, w postaci ulamka dziesiętnej, jako część grama, proszę bardzo. Oto ona:



Gdy zajmujemy się sprzecznościami w łonie ludu, musimy stosować metodę „wietrzyku i deszczu”. W ten sposób możemy dostrzec różne zagadnienia i postępować z nimi w sposób bardzo ostrożny i prawidłowy”. („ZENMINZIPAO”).

W TURCJI NIE PO TURECKU

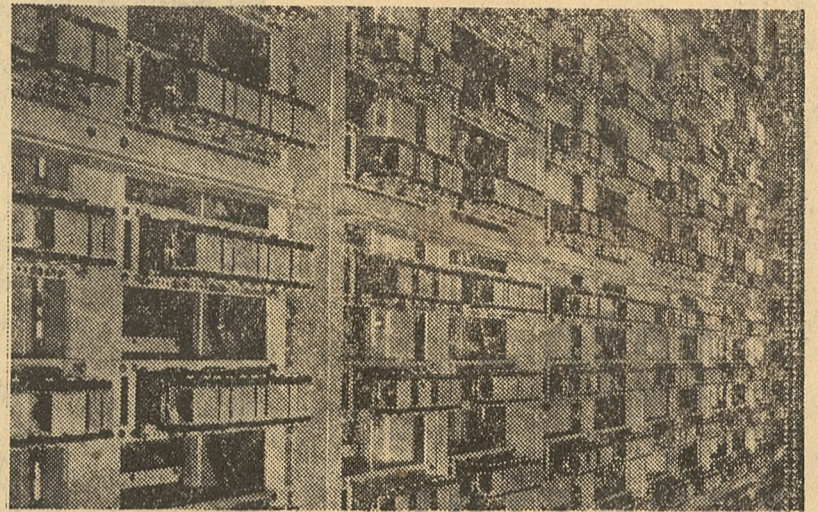
„Charakterystyczną cechą rzucającą się w oczy zagranicznemu przybyszowi w Stambule czy Ankarze jest brak czarnej kawy. W Turcji, gdzie kawa traktowana była jako napój narodowy, obecnie pija się napar z liści lipy albo z namiastek imitujących słynną turecką moczę”. („LE MONDE”).

SPÓŹNIENI

„Podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony, Paul Foote, do którego kompetencji należy dziedzina badań naukowych, oświadczył, że USA po-

0,000 000 000 000 000 000 000 000 000 911

grama. Drukarnia musiała sobie pozwolić od konkurentki trochę zer, żeby wydrukować tę liczbę, którą można odczytać jako 911 kwintylionowych części grama.



To nie są bloki mieszkalne! lecz „oficyna” maszyny elektronowej w Harvard.

Dopiero w roku 1898 udało się Thomsonowi zmierzyć wielkość ładunku elektronu. Wynosi on $6,7 \times 10^{-10}$ czyli 67 miliardowych części jednostki elektrostatycznej. Ta mała liczba i nazwa niewiele nam mówią. Możemy rzecz wyjaśnić sobie inaczej. Przez stuwatową żarówkę przepływa pod napięciem 220 woltów prąd o natężeniu niemal jednego ampera. Aby taki prąd mógł powstać, przez każdy przekrój przewodu (zewnątrznego drutu lub włókna lampy) musi przepływać 6,3 trylionów (czyli milionów razy milionów razy milionów) elektronów na sekundę. Jeden elektron — to nic. Ale gdy tylko gdziekolwiek płynie najmniejszy prąd elektryczny, dający się zmierzyć, lub tylko stwierdzić, to w grze są już biliony i tryliony elektronów.

A CO TO JEST ELEKTRONIKA?

Jeszcze ta nazwa i pojęcie nie były w użyciu, gdy już zaczęły powstawać jej (tj. elektroniki) „cuda”. Np. telefon bez drutu, czyli dzisiejsze radio. A gdy za parę dni albo tygodni zaczną nam fruwać nad głowami pierwsze sztuczne księżycy, które będą badać górne warstwy atmosfery i przesyłać na Ziemię meldunki trzeba będzie pamiętać, że lwią część pracy tych latających automatycznych wywiadów będzie oparta na technice, wyzyskującej zdobycze elektroniki.

„Zgoda” — powiecie. Zaczęliśmy dyskurs o elektronach, a teraz znów słyszymy o jakiejś elektronice. Bo choć tam człowiek umie naprawić dzwonek elektryczny lub wymienić spaloną lampkę w radiowym odborniku, wkręcić nowe stopki lub je „podważyć” (wbrew przepisom!), gdy nawala, wymienić spiralę w grzejniku i wskakiwać w ruchu do tramwaju (też wbrew przepisom), to jednak, jako żywo, mało kto wie, co to za wymysł — ta jakaś „elektronika”.

W wieku energii atomowej słyszymy w ostatnich czasach wiele o budowie atomu. Jego zewnętrzną osłó-

nę stanowi jedna lub kilka warstw elektronów. Są one też zawarte w każdym atomie metalu, a więc i w metalowych przewodach. Ruch elektronów po drucie — to właśnie prąd elektryczny.

Jednakże w pewnych warunkach elektrony można z metalu „wyganiać” w swobodną przestrzeń. Tak właśnie było w tych rurkach Geisslera, Crookesa Thomsona... Tak też dzieje się w lampkach radiowych. Między drucikiem ujemnej katody i dodatniej anody wewnątrz lamki jest przerwa, wypełniona rozrzedzonym gazem.

Gdy drucik katody rozgrzeje się, elektrony wychodzą jakby z kryminału metalu na wolność, przebiegają przez warstwę gazu i dochodzą do dodatniej anody. Skutkiem tego mimo przerwy w metalu — prąd krąży,

bo przerwa w obwodzie jest wypełniona strumieniem elektronów.

Otóż dział nauki o elektryczności, zajmujący się prawami ruchu i zastosowaniem owych „swobodnych” elektronów, nosi właśnie nazwę „elektroniki”. Gdy usłyszycie, że w pierwszej maszynie rachunkowej „Eniac” było 18.000 lamp elektronowych, zrozumiecie, że to musi być coś innego, niż zwyczajna elektrotechnika.

W czym jednak tkwi sedno rzeczy? Gdy woda płynie w zamkniętej rurze, trudno z nią coś począć. Aby zgotować herbatę, trzeba ją koniecz- nie wypuścić z kryminału rury.

Gdy woda „płynie” otwartym korytem, można w nią zapuścić sieć i łowić ryby. Coś takiego dzieje się w lampce radiowej. W „obnażony” (z drutu) prąd elektronów między katodą a anodą elektronik zapuszcza siatkę metalową, która albo „łowi” ujemne elektrony, gdy sama ma napięcie dodatnie, albo je odpycha, gdy dojdzie do niej impuls ujemny.

Napięcie siatki, połączonej np. z anteną, odbierającą miliony impulsów na sekundę, ustawicznie się zmienia, a przez to prąd swobodnych elektronów (czyli prąd anodowy) doznaje stosownych zaburzeń. Można by powiedzieć, elektrony „tańczą”, jak im zagra siatka (wzgl. antena) lub inne źródło dostarczające siatce impulsów elektrycznych. A to właśnie jest podstawą działania i radia i radaru i telewizji, i w ogóle wszelkich urządzeń elektronowych.

Drobnutki nawet impulsy dochodzące od siatki (których może być kilka) do „gołych” elektronów, zmieniają ich „modulują” ich prąd wywołując tym samym najróżniejsze skutki, ot choćby np. reprodukcję muzyki przez głośnik radiowy.

Zanim usłyszycie, jakie sztuki potrafią elektrony wydziać w tzw. mózgach elektrycznych czyli maszynach rachunkowych opartych na zastosowaniu elektroniki, musimy naprzód coś nie coś dowiedzieć się o historii takich maszyn — w ogólności.

jest rzadki. Koloru czerwonego nie mylą z czarnym” (Z serwisu AR-U)

KSIĘZYC

„Jeśli Rosjanie wyładują na księżycu, mogą oni — zgodnie z obowiązującym obecnie ustawodawstwem międzynarodowym uznawać księżyc za terytorium sowieckie”. („ANDREW G. HALEY, amerykański rzeczoznawca na Kongresie Astronautyki”).

WERSAL

„Pewien dowcipny człowiek określił Wersal jako krainę, gdzie spadając trzeba utawać, że się idzie w górę; tzn. szczyt się zażyłością z ludźmi, którymi się gardzi”. („SWIAT”).

PRZYJACIELE

„W świecie, powiedział pan N..., masz trzy rodzaje przyjaciół: przyjaciel, który cię kocha; przyjaciel, który gwizda na ciebie; przyjaciel, który cię nienawidzi”. („SWIAT”).

KOLORY

„Komuniści mają dobry wzrok. Daleko widzą, daltonizm wśród nich



O „Sputniku“

Wybitny astrofizyk i geofizyk radziecki, profesor Uniwersytetu im. Lomonosowa w Moskwie A. I. Lebediński, brał udział w konferencji naukowej Polskiego Towarzystwa Astronomicznego, która odbyła się w dniach od 7 do 10 listopada 1957 r. w Krakowie.

Prof. Lebediński udzielił odpowiedzi na pytania przedstawicieli „Zdarzeń“.

— Jakie znaczenie ma sputnik dla rozwoju nauki astronomii?

— Bardzo wielkie. Ze sputnika można będzie dokonywać obserwacji ciał niebieskich, z pominięciem atmosfery. Atmosfera przeszkadza bowiem naszym obserwacjom z ziemi i tak np. nie dochodzą do nas ultrafioletowe promienie gwiazd.

Atmosfera przeszkadza w zastawianiu teleskopu o zdolności powiększania ponad tysiąc razy. Widoczność ciał niebieskich przez atmosferę jest bardzo „niespokojna“ i drgająca.

Prócz tego atmosfera przeszkadza nam w badaniu atmosfer na innych planetach, szczególnie na Marsie, gdzie bardzo trudno odróżnić linie tlenu znajdującego się tam w znacznie mniejszych ilościach niż na ziemi.

— Czy Pan Profesor uzasadnia fakt, że młoda nauka radziecka wyprowadziła naukę krajów kapitalistycznych?

— Wydaje mi się, że uzasadnienie osiągnięć nauki radzieckiej, tkwi w naszym systemie, który pozwala na koordynację niezwykle skomplikowanych badań. Mam tu na myśli sputnika. Tylko ścisła współpraca różnych gałęzi nauki mogła zakończyć się pełnym sukcesem naukowym i technicznym. Wydaje mi się ponadto, że nasza „gospodarka“ kadrami naukowymi i talentami jest bardziej racjonalna niż np. w USA, gdzie jednostka zajmująca się pewną dziedziną nauki rzadko może liczyć na tak duże poparcie państwa.

W ZSRR — przy podejmowaniu badań naukowych — istnieje zawsze gwarancja pokrycia przez państwo wszelkich kosztów zaplanowanych z góry już przed przystąpieniem do doświadczeń naukowych.

— Co Pan Profesor sądzi o tak zwanych latających talerzach? (Unidentified Flying Objects)?

— Osobiście nie spotkałem dotychczas w literaturze naukowej jakiegoś poważnego artykułu na ten temat. U nas nie latają „latające talerze“ — więc nie o tym nie piszemy. Skoro w Ameryce czy też innych krajach istnieją ludzie, którzy widzieli to zjawisko — to naukowcy tych krajów powinni niewątpliwie naświetlić to zagadnienie z punktu widzenia nauki. Sam fakt bowiem, że prasa przynosi wiadomości na ten

temat, nie wystarcza do zajęcia pozytywnego stanowiska. Z tego co o tym wszystkim wiemy, wydaje mi się, że są to raczej zjawiska elektryczności atmosferycznej.

— Czy mógłby Pan Profesor ujawnić jakieś nieznanne dotychczas szczegóły drugiego sputnika? Co będzie z Łajką?

— Wystrzelona rakietą to przede wszystkim „nosiciel“ przyrządów naukowych. Opracowanie wyników to jednak kwestia czasu. Wszystkie szczegóły i obserwacje naukowe dokonane w ramach Międzynarodowego Roku Geofizycznego, zostaną na pewno opublikowane.

Uradowanie Łajki byłoby niezwykle cenne. Przede wszystkim dla nauki. Hałas, jaki podniosła prasa zachodnia „w obronie“ Łajki, pozbawiony jest jakiegokolwiek sensu. Każdy zakład naukowo-dosлідzawczy powinien być wobec tego — ze względów „humanitarnych“ — zaprzestąć swoich doświadczeń na zwierzętach. Taki punkt widzenia jest oczywiście nie do przyjęcia.

— Czy istnieją w ZSRR kandydaci do lotów międzyplanetarnych?

— Przed kilkoma dniami przeglądałem korespondencję naszego wybitnego uczonego, badacza okolic podbiegunowych prof. O. Schmidta. Już dwadzieścia lat temu lotnicy radziecy w swoich listach do niego prosili o zapewnienie im pierwszeństwa w lotach stratosferycznych. Obawiam się, że dziś, względnie w najbliższej przyszłości, trudno będzie zadowolić życzenia wszystkich chętnych.

— Czy zna Pan Polskę, a szczególnie Kraków?

— Polskę znam. I bardzo chętnie przyjeżdżam tutaj z uwagi na niezwykle bliskie i serdeczne kontakty z wybitnymi astronomami polskimi jak profesorami: Rybką, Piotrowskim, Witkowskim, Kamieńskim i innymi, których autorytet naukowy wysoko cenię.

W Krakowie byłem, ale... go nie znam. Dlatego tym razem poświęcam cały dzień na zwiedzanie jego wspaniałych kościołów i zabytków historycznych.

Rozmowę przeprowadził: MIKOŁAJ KUPLOWSKI

Śliczni chłopcy, dobrze ułożeni, mówią — przepraszam, dziękuję, mówią ładną poprawną polszczyzną.

Codziennie setki podobnych spotykamy na ulicy, w tramwaju w kinie. I nawet nie domyślamy się, że któryś z nich jutro będzie mordercą. Tych trzech już przekroczyło granicę zbrodni. Gruba krata oddziela ich od świata. W 10 dni po bestialskim mordzie przycichli, spokornieli, grzecznie siedzą na krzesłach.

MORDERCY

Adamczyk — wysoki, przystojny blondyn w wojskowej bluzce. Kłopotuje się czy odesłać już matkę ubranie, żeby się nie zniszczyło. Siedzi pierwszy raz, specjalnych życzeń nie ma.

Baran — też blondynek, o regularnych rysach, buzia miodziutka, niemal dziecięca. — Chciałbym się widzieć z ojcem. Nie można? No to chociaż list chciałbym napisać. Dziękuję, przepraszam.

Cichy: — Zostawiłem w hotelu kurtkę, żeby tylko nie zginęła. Kosztowała przecież 800 zł. Wódki nie

Nie działa się nic złego. Dopiero po wyjściu z Klubu Rozrywkowego podochocone wyrostki napadły pierwszego z brzegu przechodnia Edwarda Zajacę, zadając mu siedem ran nożem, po czym najspokojniej, przez nikogo nie zatrzymywani ruszyli spacerkiem przez Hutę. Minęli jedno osiedle zawędrowali na drugie i tu obok bloku nr 8 napadli na swą kolejną ofiarę Ryszarda Królikowskiego. Dalsze wypadki znane są z prasy codziennej.

Eksperti medycyny sądowej, dalsze śledztwo — odsłoni szczegóły zbrodni. Niezależnie od wyników już dziś, jak na dłoni widać całą jej potworność i zewierzenie zbrodniarzy.

POGROBOWCY ŁOJASA

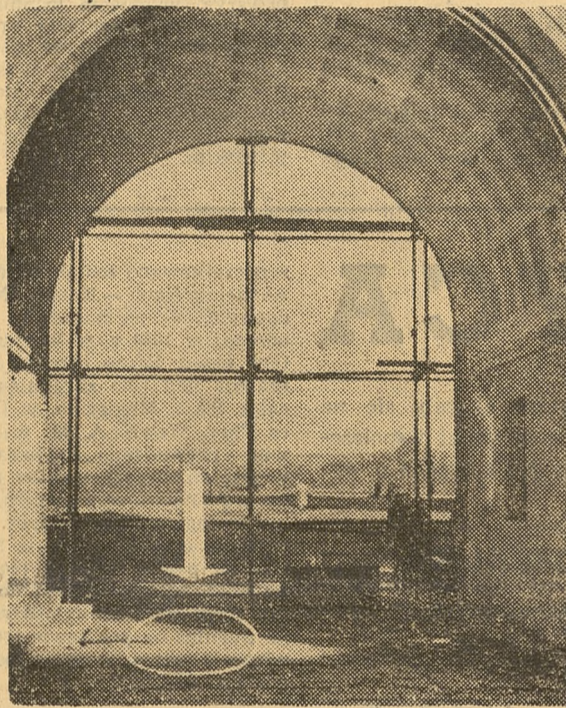
Ulicami jedzie żałobny kondukt kolumna aut z Transportu Służby Zdrowia, karetki pogotowia. Długim przeciągiem wyciem syren znaczą

mankami. Stąd wyszli owej niedzieli dwaj bandyci.

Trzeci — Władysław Adamczyk trochę od nich starszy ma 23 lata i przyjechał do Huty też niedawno wprost z wojska. Ukończył 7 klas szkoły podstawowej, był operatorem maszyn. Nie bez znaczenia jest fakt, że pierwszy raz do Huty Adamczyk przyjechał w 1951 roku, miał więc 17 lat. Wielokrotne wypadki przestępstw młodocianych świadczą o tym, że najczęściej popełniają je chłopcy pozbawieni opieki rodzicielskiej. Zmiana środowiska, brak presji moralnej, wysokie zarobki, a przy tym niskie wyrobienie etyczne zrywają wszelkie hamulce. Zaczyna się od „niewinnych“ bójek i wyzwisk poprzez pijackie burdy do bandytyzmu, od pięści do noża i kastratu, od sińca do podciętych żył. Duży odsetek przestępstw popełniają młodzi chłopcy zarabiający około 1.300 — 1.600 złotych. Na utrzymanie wydają 500 — 700 zł. Co robią z resztą? Wielu zamienia nadwyżkę na alkohol, rezultat — znów trzech młodocianych bandytów po krwawej zbrodni oczekuje na wyrok.

W ubiegłym roku co 15 minut popełniał przestępstwo nieletni, ponad 30 tys. młodocianych przestępców. Nic nie wskazuje na to, by ten rok miał przynieść poprawę. A przecież jest to tylko ilość wykrytych

SA WŚRÓD NAS



Miejsce, w którym dokonano morderstwa

sprawców. W rzeczywistości jest ich dużo więcej. Z samej tylko Nowej Huty do sądu dla nieletnich w Krakowie skierowano w tym roku blisko 50 spraw. Oczywiście trafiają tu tylko najbardziej obciążeni.

Jeszcze tragiczniejsze są liczby dotyczące tzw. chuligaństwa czyli po prostu bandytyzmu. W tym roku zanotowano na terenie kraju 39 tys. wystąpień awanturników. W wyniku burd i bójek straciło życie 180 osób, 7 tys. odniosło ciężkie rany. Tragiczny bilans bijący na wielki alarm.

KARA CZY ZACHĘTA?

Zajrzyjmy do... kolegium orzekającego! Tutaj władza ludowa, społeczeństwo, rozprawia się z tymi, którzy nie szanując jego praw dopuścili się mniejszych lub większych przestępstw. 10, 15 rozpraw dziennie odbywa się w niewielkiej salce Dzielnicowej Rady w Nowej Hucie. 10, 15 spraw to bardzo dużo jak na jedną dzielnicę zważywszy, że nie każdy kto wejdzie w kolizję z prawem od razu musi trafić na łańwę oskarżonych.

Przeglądam pierwszy z brzegu protokół. Stanisław S. awanturował się po pijanemu. Za ten czyn kolegium w składzie... etc. — wymierzyło mu karę 300 zł. Tego samego wieczoru Dionizy W. wszczął awanturę bijąc przechodniów. Też był pijany. Dostał 3 miesiące pracy poprawczej tzn. w sumie kilkaset złotych grzywny.

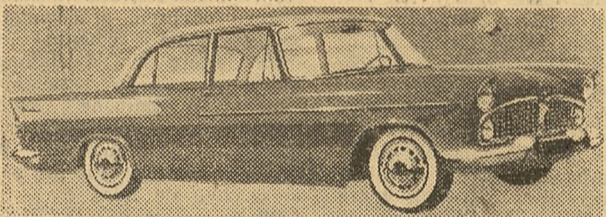
Czy to kara czy zachęta do dalszych przestępstw? Jeżeli pijak wyjdzie na libację 400—500 zł, to niewielkie wrażenie wywoła w nim 300-złotowa suma dopisana do rachunku przez kolegium orzekające. Jeżeli dodamy do tego fakt, że ścigalność kar waha się w granicach 50—60 proc. to łatwo sobie uzmiełowić jak nikły wpływ w walce z przestępczością mają kolegia. Są plasterkiem na ogromnej ropiejącej ranie — żeby się nazywało, że coś się jednak robi.

W obecnej formie kolegia orzekające nie mają racji bytu. W Nowej Hucie jest około 100 członków kolegium. Na rozprawę trzeba wzywać pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a to wiadomo, że przyjdzie tylko dwóch lub trzech.

Dość zakłamania! Sytuacja nie jest bynajmniej wesoła — potrzeba nam surowej sprawiedliwości. Nie można urządzić kpin tam, gdzie w grę wchodzi zdrowie, życie obywateli. Nie wolno pozorami wymiaru sprawiedliwości maskować faktycznej bezkarności. Kolegia orzekające muszą stać się skuteczną bronią w walce z wszelkimi przejawami bandytyzmu, chuligaństwa, grandziarstwa. W przeciwnym wypadku nie mają racji bytu. Więcej — mogą być nawet szkodliwe, bo stwarzają pozory walki, uspakajają opinię społeczną, rozzuchwalając przestępców. Dlatego wydaje się konieczne wprowadzenie kary aresztu w orzecnictwie karno-administracyjnym. Podniosło by to powagę kolegiów i miałoby duże znaczenie w walce z przestępczością.

SPOSOBY ZARADCZE

Co robić byśmy mogli spokojnie chodzić po ulicach, by nie groziły (Dokończenie na str. 8).



„Złota Rakietka“ Nowe modele „Simca“ „Vespa“ zdobywa rynek

(Reportaż własny „Zdarzeń“ z Paryża)

W olbrzymich halach paryskiego Grand Palais cisnęły się codziennie tłumy ludzi, szumiały różnorodnym gwarem LIV już z kolei Międzynarodowy Salon Samochodowy był pojętym magnesem, który przyciągnął do stolicy Francji dziesiątki tysięcy przybyszów z całej niemal Europy. W tak zasobnym w hotele mieście w tym okresie portierzy witali szukających wolnych miejsc bezbradym rozłożeniem rąk. Complet — le Salon de l'Automobile — te słowa tłumaczyć miały wszystkim.

Na 8 ha powierzchni hali zeromowano ponad 1300 eksponatów, wystawionych przez 260 firm z 16 krajów. Większość zwiedzających oglądała przede wszystkim najnowsze modele samochodów — rzadziej odwiedzano boczne, dwupiętrowe galerie, gdzie znaleźć można było wszystkie akcesoria samochodowe, począwszy od najmniejszych śrubek, a na gotowych garażach i przyręcznych domkach campingowych skończywszy. Konkurencja ze sobą firmy przeciągały się w jak najbardziej pomysłowym i oryginalnym wyposażeniu stoisk byleby tylko przyciągnąć do nich jak najwięcej klientów.

Wśród 114 nowych modeli samochodów przeważały oczywiście firmy francuskie, wystawiając 33 konstrukcje. Licznie reprezentowane były róż-

nież marki amerykańskie, angielskie i niemieckie, w wystawie uczestniczyły ponadto znane wytwórcy samochodów z Włoch, Szwecji, Austrii, Czechosłowacji oraz Japonii, po raz pierwszy biorąc udział w tego rodzaju imprezie.

Do najciekawszych eksponatów Salonu należała niewątpliwie „Złota Rakietka“ — eksperymentalny coupe sportowy z silnikiem o mocy 275 KM (prod. General Motors). Sensacją wystawy był również w dużej mierze małowartościowy samochodzik produkcji znanych francuskich zakładów „Vespa“. Wazy on zaledwie 350 kg, posiada silnik o poj. 393 cm. dwutaktowy, chłodzony powietrzem, który pozwala na rozwinięcie szybkości około 90 km/godz. Zużycie paliwa 4,7 l na 100 km. Największą zaletą „Vespy“ jest jednakże niska cena samochodziku — około 350 tys. franków. Nowy model „Vespy“ będzie więc niewątpliwie poważnym konkurentem dla wprowadzonych już uprzednio na rynek mikrosamochodów produkcji NRF.

Do najbardziej okazałych należało stoisko „Simca“, która to firma zaprezentowała m. in. nowy model Vedette „58“. „Simca“ jest zresztą obecnie typem wozów najczęściej spotykanym na ulicach miast i szosach francuskich.

Z najbardziej interesujących konstrukcji mających ułatwić prowadzenie samochodu zanotować warto zastosowaną w wozach „Renault“ przekładnię typu „Transfluide“, składającą się z trzech elementów: jednostopniowej przekładni hydrokinetycznej, jednotarczowego sprzęgła i trójbiegowej skrzynki przekładniowej o wszystkich biegach, łącznie z wstępnym, synchronizowanych. By zmniejszyć przełożenie nie potrzeba naturalnie naciskać pedału sprzęgła, który został zresztą wyeliminowany, lecz wystarczy jedynie przesunąć dźwignię biegów w odpowiednie wycięcie.

TADEUSZ TOLIŃSKI

pię, papierosów nie pałę. Przepraszam. — Ukłon głową, wychodzi.

OKWIAT „LOTOSU“

Była niedziela 27 października 1957 r. Daniel Cichy, młody wielki chłopak od niedawna pracujący w Nowej Hucie, leniwie przeciągnął się w hotelowym łóżku. Miał dużo czasu, nigdzie mu się nie spieszyło. Wstał o 10-ej, zjadł śniadania i spacerkiem powędrował do kościoła w Pleszowie. Była przecież niedziela, a Daniel Cichy to pobożny chłopiec. Modlił się w kościele do godziny 13-tej, potem powąchał się po mieście, poszedł z kolegą na zawody żużlowe, zajrzał do „Wesołego miasteczka“. Co tu robić w nudne niedzielne popołudnie?

Wkrótce już było ich trzech. — Bogdan Baran, Władysław Adamczyk i — Daniel Cichy. Na początek zastukała odbijana flacha wody, dwie flaszki wina. Chociaż koniec miesiąca oni mają pieniądze — zarabiają dobrze, a są sami. Idą ulicami Nowej Huty, jak tysiące innych przechodniów niczym się nie wyróżniający, odświętnie ubrani. Jeszcze odwiedziny u znajomych, a potem — na zabawę.

Jest w Nowej Hucie słynny lokal. Niejeden raz biyskały tu noże, połała się krew, poleciały wybijane szyby. Na początku lokal nazywał się mocarstwem „Gigant“, potem zmienił nazwę na liryczny „Lotos“, teraz zwie się po prostu „Klub Rozrywkowy“. Gospodarzy tu ZMS. Lokal zmieniał nazwy, zmieniał kierownictwo, usiłuje zmieniać rodzaj rozrywki bawiącej się tu młodzież. Ale to nie dzieje się tak szybko.

Do klubu trafiło trzech podchmielonych kompanów: Baran, Adamczyk, Cichy.

CZTERNAŚCIE NOŻY

— Siedzieli tuż obok naszego stołka. — Opowiadał dwie pracownice Huty — Leona M i Irena A. — Znałyśmy jednego z nich z widzenia. Potem przyszedł do nas ten blondyn. Oni zamówili na swój stół wino, my po kuflu piwa.

PIERWSZY RADZIECKI ATOMOWY LODOŁAMACZ „LENIN” WYRUSZA W PODRÓŻ

Potęźnie i wspaniale wygląda ten stalowy kolos — przyszedł pogromca Arktyki. Ponad szerokim pokładem wznosi się czteroetażowa nadbudowa. Na pierwszy rzut oka uderza — brak kominów. Ten gigant nie będzie dymił: jego materiałem napędowym jest atom. Lodołamacze są istnymi pożeraczami energii. Dotychczasowe typy musiałyby przed wypłynięciem z doku ładować pod pokład tysiące ton węgla, spalając dziennie ponad 100 ton. Ten nowoczesny kolos może być 400 dni w drodze, nie zawiązując ani raz do portu. Trzy razy dookoła ziemi to jest możliwy promień jednego rejsu. Zwykły okręt dla odbycia takiej podróży potrzebowałby 30 000 — 40 000 ton węgla. Ten kolos będzie potrzebował w całości zaledwie kilka kilogramów paliwa atomowego.

Na pokładzie znajduje się małe wprawdzie lotnisko okrętowe — ale wystarczające i hangar. Również atomowy lodołamacz naszych czasów nie może się obejść bez lotnictwa. Samoloty służą do rozpoznawania warunków lodowych, a także dla celów naukowych.

Na dole pod pokładem wmontowany jest reaktor atomowy: serce lodołamacza. Substancja atomowa w reaktorze będzie dostarczać olbrzymią ilość ciepła, które będzie ogrzewało wodę. Reaktor osłonięty jest

grubymi ścianami, aby unieszkodliwić promienie, mogące wyrządzić człowiekowi szkodę. Woda zamieniona w parę wodną będzie poruszała turbiny z ich generatorami. Prąd elektryczny przepływający przez potężne motory będzie wprawiał w ruch śruby okrętowe.

Należy przy tym zauważyć, że zwykły okręt posiada jedną, a rzad-

NAUKA

ko tylko dwie śruby okrętowe. Radziecki lodołamacz atomowy ma aż trzy śruby okrętowe, które przejmują tę olbrzymią energię wytwarzaną w reaktorze. Najnowszy amerykański lodołamacz „Gletscher”, który Amerykanie uważają chętnie za najpotężniejszy na świecie będzie miał siłę o połowę mniejszą od radzieckiego.

A teraz warto podać interesujące szczegóły o warunkach, w jakich będzie żyła załoga i grono pracowników naukowych.

Pod pokładem wzdłuż długiego korytarza po obu stronach rząd drzwi. Tu są pojedyncze kabiny dla załogi.

Bez przesady — jest tu przytulność. Mała sofa, która przy pomocy obrotu ręki da się zamienić w wygodne łóżko, szafeczka na czerwczo pomalowana i małe biurko. Na podłodze dywanik. W czasie loskotu lub kołysania się okrętu mieszkaniec kabiny może sobie wybrać miejsce, w którym czułyby się jak najlepiej.

Ale są tu jeszcze inne przyjemności dla mieszkańców okrętu: kino, czytelnia, duża biblioteka. Jest także duża sala muzyczna, ponieważ, na pewno wśród marynarzy znajdują się tacy, którzy chętnie zagrają na fortepianie, na skrzypcach, a może utworzą zespół artystyczny.

Specjalne urządzenia klimatyzacyjne utrzymują równomierną ciepłotę we wszystkich kabinach.

Artykuły żywnościowe z magazynu i chłodziń dostarczane są do kuchni wyposażonej w najnowocześniejsze maszyny elektryczne — za pomocą specjalnych transmisji.

Wyposażenie tego kolosa o długości 134 m, szerokości 30 m, o wyporności 16 000 ton odpowiada najnowszym wymogom techniki budowy okrętów. Specjalne urządzenia zabezpieczają go przed zatonięciem nawet w czasie silnego uszkodzenia. Sterowanie odbywa się automatycznie przy pomocy odpowiednich urządzeń zainstalowanych na mostku kapitańskim.



Jak bardzo krzywe są kolumny na południe chyłającej się galerii spostrzegła turysta patrząc na kopułę katedry. Północny wierzchołek wieży sięga 55,52 m, południowy 54,52 m.

MIAŻDŻYCA

Nawiązując do szeregu artykułów, które ukazały się w łamach „Zdarzeń”, dotyczących zagadnienia walki współczesnej medycyny ze starością, zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź w tej sprawie, do

PROF. DR EDWARDA SZCZEKLIKA
kierownika III Kliniki Chorób Wewnętrznych
A. M. we Wrocławiu

Pytanie: Jaki związek istnieje pomiędzy starością a tzw. miażdżycą naczyń?



Odpowiedź: Do niedawnych czasów sądzono, że miażdżycę, znana również pod nazwą sklerozy (zwapnienie naczyń) jest procesem chorobowym nieodwracalnym. Ponieważ zaś miażdżycę jest jednym z głównych czynników stanu organizmu ludzkiego zwanego starością, sądzono, że i starość jest rzeczą nieuchronną i nieodwracalną. Badania ostatnich lat wykazały, że można wpłynąć na rozwój miażdżycy i próbować zatrzymać jej bieg, a co za tym idzie zahamować zbyt wczesne starzenie się. Wskazuje na to m. in. przedłużenie przeciętnej wieku ludzkiego, który z przeciętnej 40—50 lat w ub. wieku, wynosi obecnie ok. 60 lat.

Pytanie: Co wpływa na rozwój miażdżycy?



Odpowiedź: W powstawaniu miażdżycy tętnic, obok innych jeszcze czynników, zasadniczą rolę odgrywiają zmiany biochemiczne krwi. Zmiany te idą w kierunku zaburzeń gospodarki lipidowej, czyli tłuszczowej. Doświadczenia uczonego rosyjskiego Aniczkowa, wykonane jeszcze w 1912 roku, wykazały że w miażdżycę tętnic przychodzi od odkładania się złogów cholesterolu w tętnicach ludzkich co zapoczątkowuje sprawę chorobową zwaną miażdżycą. Cholesterol należy do ciał tłuszczowatych i w normalnych warunkach znajduje się w krwi, w przypadku zaś miażdżycy zawartość jego w krwi ulega wybitnemu podwyższeniu.

Badania te zostały następnie potwierdzone przez bardzo wielu uczonych całego świata, wykazano również, że nie tylko u zwierząt, ale również u ludzi zaburzenia gospodarki cholesterolowej odgrywają wybitną rolę w powstawaniu miażdżycy. M. in. w czasie II wojny światowej, w krajach, w których zaistniały trudności w otrzymywaniu i spożyciu tłuszczów, ilość przypadków miażdżycy wybitnie zmniejszyła się, co zostało wykazane statystycznie.

Pytanie: Czy zaburzenia gospodarki cholesterolowej stanowią jedyną przyczynę rozwijania się miażdżycy u ludzi?



Odpowiedź: Obok teorii zaburzeń lipidowych w miażdżycy, zaczyna się ostatnio wysuwać na czoło druga teoria zaburzeń w krzepliwości krwi. Mianowicie uczony angielski Duguid, już po II wojnie światowej wykazał, że zmiany miażdżycowe w tętnicach mogą rozpocząć się od małego zakrzepu (skrzepu), który usadawia się na uszkodzonej ścianie wewnętrznej tętnicy i następnie ulega pewnym przemianom, prowadzącym do miażdżycy.

Teoria ta jest kontynuacją zapamiętanych uczonemu niemieckiego Rokkitańskiego, który jeszcze w ub. wieku przypisywał zakrzepom duże znaczenie w powstawaniu miażdżycy tętnic.

Pytanie: Czy w Polsce prowadzą się badania naukowe nad miażdżycą?



Odpowiedź: Badania zakrojone na szeroką skalę nad miażdżycą tętnic

zapoczątkowane zostały przez Polską Akademię Nauk — Komitet Nauk Medycznych — na naradzie roboczej odbytej w 1954 r. w Warszawie. Od tego czasu liczne ośrodki naukowe pracują nad tym zagadnieniem pod egidą PAN. Między in. w III Klinice Chor. Wewn. A. M. we Wrocławiu prowadzone są badania nad wczesnym rozpoznawaniem miażdżycy oraz nad mechanizmem powstania (patogeneza) miażdżycy. Dotychczasowe wyniki wskazują na to, że istnieją pewne zmiany biochemiczne krwi, pozwalające na dość wczesne rozpoznawanie miażdżycy. Można również na podstawie tych zmian odróżnić okres wczesny od okresu późnego miażdżycy.

MEDYCyna

Z badań Kliniki, wynika również, że istnieje pewna równoległość zmian pomiędzy zawartością lipidów (ciał tłuszczowatych) we krwi, a niektórymi czynnikami wpływającymi na krzepliwość krwi. Potwierdzałoby to słuszność obu teorii, które przyjmują — że zaburzenia w gospodarce lipidowej i zmiany w krzepliwości krwi, odgrywają rolę w powstawaniu miażdżycy. Należy nadmienić, że badania nad zależnością wyżej wymienionych zmian biochemicznych krwi, tj. zmian w lipidach i w niektórych czynnikach wpływających na krzepliwość krwi, są jedne z pierwszych w świecie.

Pytanie: Czy możemy już dzisiaj skutecznie przeciwdziałać rozwojowi miażdżycy?



Odpowiedź: Praktyczne znaczenie prowadzonych badań polega na: odpowiednim ustawieniu diety, z odpowiednim ograniczeniem przede wszystkim tłuszczów i jaj, a także mleka i sera. Przestrzeganie takiej diety może odegrać pewną rolę w zapobieganiu miażdżycy. Medycyna dzisiejsza rozporządza również środkami, które regulują zaburzony układ krzepnięcia krwi (np. heparyna i in. środki przeciw zakrzepowe). W ten więc sposób, stosując odpowiednią dietę, jak również pewne wzmiankowane, środki farmakologiczne, spodziewamy się wpływać zapobiegawczo na rozwój miażdżycy tętnic. —

Rozmawiał
JERZY KWIECIEŃSKI

DEZIMU

Chyba nigdy nie byłaby tak sławna 54,4 m wysoka campanilla katedry w Pizie, gdyby nie to, że już w czasie budowy podłoże zaczęło się obsuwać. Jednak wieża nie postąpiła tak, jak w tej sytuacji zwykła czynić większość budowli: nie przewróciła się. Stała ukośnie i to przyniosło jej sławę w całym świecie przydomek „Krzywa wieża w Pizie”. Każdy, kto widzi ją po raz pierwszy, ulega przestraszowi i odnosi wrażenie, że wieża runie i to już w tej chwili. Na razie jednak wieża wcale o tym nie myśli. Aczkolwiek pochyła się ona corocznie o 7—9 mm (niektórzy mówią o 12 mm) to wyliczono, że nie runie wcześniej niż za 220 lat. Tak więc stara, poczciwa wieża opierająca się na tym rachunku, przekroczy gładko granicę tysiąclecia.

Jednakże nawet 220 lat nie jest wiecznością. Pewnego dnia może minie ten termin i wówczas świat byłby uboższy o jedną osobliwość. Do tego jednak Włosi nie chcą dopuścić, a wychylenie 4,28 m i tak już jest poważne.

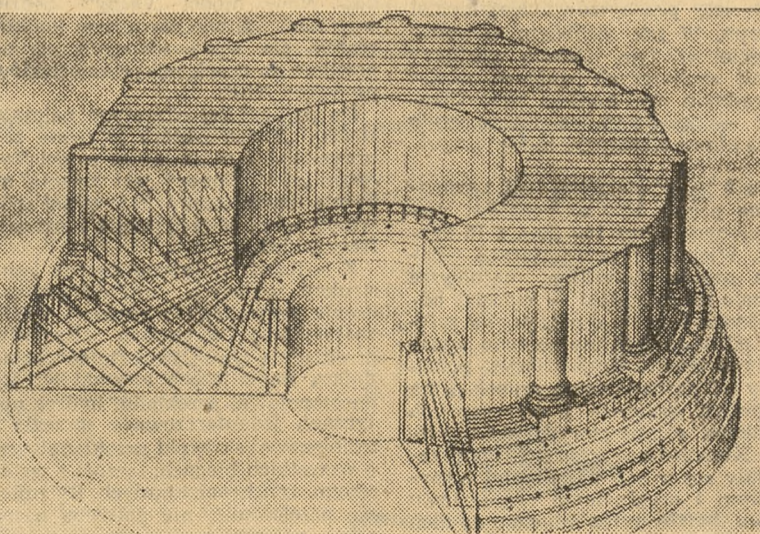
„Chory”, tak bowiem nazwał lud swą wieżę, musi zostać poddany kuracji, która powstrzyma zupełnie, względnie przynajmniej opóźni pro-

ces chylenia się. Już w 1934 r. po szeregu obliczeń, próbowano przez wstrzykiwanie cementu osuszyć źródła, które swą działalnością w bagnistym gruncie rozsadzają fundament. Wywiercone wówczas w fundamencie otwory pożaryły 92 tony cementu. Ale niestety — okazało się, że te zastrzyki nic nie pomogły: wieża chylił się dalej.

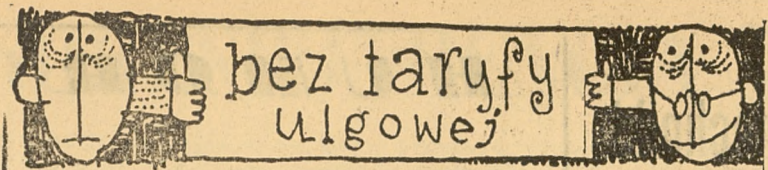
Włosi — i zresztą nie tylko oni — kochają „wielkiego chorego”. Być może tu leży źródło wiary, że chylenie się wieży powstało nie na skutek obsunięcia się podłoża, lecz było zamierzone przez budownicze-

go. Wielokrotnie dementowano ten pogląd. Poza tym, chcemy czy nie, wieża staje się co dzień bardziej krzywa. Stwierdzają to precyzyjne aparaty, którymi co dopę przeprowadza się pomiary. Tego faktu niestety nie można już zaprzeczyć.

Zdecydowano się przeto — na podobną procedurę, jaką już przeprowadzono w roku 1934. Znowu wstrzyknie się wiele, bardzo wiele ton cementu pod fundament. Czy kuracja tym razem pomoże — trudno przewidzieć. Miejmy jednak nadzieję i życmy „chorému” z Pizy pełnego powrotu do zdrowia.



Zastrzyki z cementu mają uratować „wielkiego chorego”. Plan jest już gotów. Widoczne na rysunku otwory prowadzą do kanałów, które zostaną wypełnione cementem.



Znacie te rozmowy...

Znacie te rozmowy? Znacie, znacie... Ale lubicie je powtarzać w nieskończoność. Kto był większy: Mickiewicz czy Byron? Kto pierwszy wyruszył w przestrzeń międzyplanetarną — na księżyc? Amerykanie czy Rosjanie? Kto wygrał: my czy oni? Cni czy my? — kto dojdzie do finału mistrzostw świata w piłce nożnej? Znacie te rozmowy. Szowinizm? Nasze tradycje kompleksy? Naiwność? Głupota?

Epoka energii atomowej i „sputników” nie ma wcale zamiaru rezygnować z małych i wielkich przyjemności. Nazwijmy je, rodzinnymi. Bo czyż to nie święto dla każdej narodowej rodzinki gdy jej przedstawiciel wygra, obojętne co, byle wygrał, byle był pierwszy, byle został laureatem. Nigdy może jeszcze współzawodnictwo nie rozwijało się na taką skalę jak obecnie. Szaleńcym bowiem wprost bodźcem dla ambicji jest błyskawiczna możliwość dokonywania porównań, zrodzona dzięki telekomunikacji, dzięki współczesnej nauce i technice. To nie przypadek że ambicje osobiste rodzinne czy narodowe odgrywają taką rolę. Przed ambicjami cała przyszłość. No, bo gdy znikną inne bodźce — przede wszystkim bodźce materialne — ambicja stanie się jednym z głównych motorów postępu. Kto pierwszy — jest zasadniczym pytaniem naszych czasów. Kto... O toż właśnie — kto. Wiadomo, że każde osiągnięcie, choć wyrosło z określonej gleby, z określonego środowiska musiało mieć swego konkretnego autora, autora o takim to a takim wyglądzie, takiej a takiej psychice, takiej a takiej działalności. Stąd ogromne dziś zainteresowanie wywiadami czy opisami informacyjnymi o szczegółach i szczegółikach życia sław. Wszystkie książki o typie biografii literackich i nieliterackich są bestsellerami — (z książkami Saganki włącznie bo i one mają charakter wie romanse).

Tak zwani szarzy ludzie pragną uczestniczyć w przeżyciach swych wielkich wybrańców. A w jakich inny sposób można poznać tajemnice cudzego życia niż przez poznanie najdrobniejszych, najbanalniejszych nawet szczegółów. Dlatego w dobrej literaturze współczesnej ważne staje się i to jak kto trzyma rękę

podczas jedzenia zupy. Najlepiej, szary człowieku, orientuj się w swym życiu codziennym. Dla ciebie rekwizyty codzienności urastają do roli obserwatorium rzeczy zasadniczych i wspaniałych lub potwornych. Tak, nie przypadkowo naszym czasem najlepiej odpowiada literatura szczegółu. Stąd powodzenie „Poletka Pana Boga” Caldwell, stąd zachwyt nad Faulknerem czy Steinbeckiem. Stąd też powodzenie Saganki. Ludzi interesują nie tyle problemy danej epoki ile psychologia twórców i uczestników problematyki (jeśli tak się można wyrazić). I to psychologia nie fasadowa ale ta od kuchni. Na pewno mamy więc prawo mówić o zmierzchu poezji tradycyjnej — bardzo zresztą wyraźnym — popatrzenie na nakłady i zagładnięcie do księgarń. Po prostu: matematyka literatury przestaje interesować w epoce wielkiego fizycznego doświadczenia. Ludzie odwracają się od abstrakcji już nie dlatego że jej nie rozumieją. Dlatego że jej nie chcą. Aż dziw jak wszelkie kierunki abstrakcyjne szybko skostniały i zajęły piedestały akademickie. Człowiek epoki kocha i nienawidzi codzienności w jej najdrobniejszych przejawach, bo ją najlepiej rozumie.

Byłem ostatnio na dwóch sztukach teatralnych. W Teatrze Młodego Wildza — „Pamiętnik Anny Frank” (niewątpliwie po „Komedii omyłek” drugie poważne wydarzenie w życiu teatralnym Krakowa). Ten „Pamiętnik” jakże bliski jest atmosferą książkom Saganki. Nie bójmy się tego zestawienia. Saganka to świetny psycholog szczegółu, choć problematyka jej powieści trąci banałem. Problematyka „Pamiętnika” jest wielka i straszna — bardzo na miarę naszego wieku. Ale nie ona decyduje o tym dziele. O jego wartości decyduje psychologia: szczegółowy opis stosunku bohaterki do najdrobniejszych nawet wydarzeń. To wielki triumf prozy nad poezją. Konkretnie nad abstrakcją. Drugim przedstawieniem, które mnie uderzyło były „I-miona władzy” Broszkiewicz. Wielki banał zwyciężony przez grę aktorów i rekwizyty teatralne. A więc nie problematyka jest ważna? Bo ja wiem. Zbyt długo oddzielano problem od człowieka. Tak rozdziła się sztuka abstrakcyjna. I musi teraz umierać.

ADAM HOLLANEK

„oklepy cyminowe, Sanatorium pod Klepsydrą, Kometą”. Wszystko w jednym tomie. Wszystko z doskonałymi rysunkami autora — Brunona Schulza. Autor tych utworów, uważanych często za utwory chorej wyobraźni — sprawił, że literatura polska międzywojennego dwudziestolecia po prostu „wynormalniała”. Deformacja rzeczywistości, dodajmy deformacja przejrzysta, wysmiewająca w aluzjach świat sztywnych przepisów szkolnych i przeżyć ck. profesorów nie jest grymasem i „sztuką dla sztuki”. To po prostu dobra literatura, która nie zawsze musi się posługiwać wierną fotograficzną odbitką. Zasięga wydania Schulza przypadła Wydawnictwu Literackiemu w Krakowie.

*

Wyszły „Zmory” Zegadłowicza

Rewolucyjne fragmenty tego dzieła są już niestety wyblakłe wobec erotycznych elukubracji autora. Niech się nie złością wszyscy poprawiacze i konesery. Niech przedtem przeczytają „Zmory” w wydaniu Wydawnictwa Literackiego.

*

NOWE KSIĄŻKI

dziwy zachwyt, a „Żywot człowieka poczciwego” i „Wyzwolenie włóściom”, piękna epika i liryka Syrokomli — z pewnością i dzisiaj znajdują swoich zwolenników.

*

„Kraków w twórczości Wyspiańskiego” Antoniego Waśkowskiego to nie tylko dobra rozprawa oparta na autentycznych wspomnieniach autora. To również doskonałe reprodukcje wielu obrazów i rysunków Wyspiańskiego dotyczących Krakowa. A więc możemy się tam zapoznać nie tylko z interesującymi faktami z życia autora „Wesela”, ale również obejrzyć świetną reprodukcję „Wieź mariackich”, interesujące rysunki dotyczące uporządkowania dziedziczą wawelskiego, rysunki z rynku krakowskiego i inne. Książkę tę wydało w opracowaniu graficznym prof. Witolda Chomicza — Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne w Krakowie. Jest to godne uczczenie trwającego Roku Wyspiańskiego.

Władysław Syrokomla czyli Ludwik Kondratowicz był nie tylko wziętym poetą. Był również dobrym poetą. I dlatego Nasza Księgarnia dobrze robi, że wydaje jego „Wiersze i gawędy”. Poprzedza ów wybór utworów Syrokomli, J. W. Gomułkiewicza, który jest synem autora „Wspomnień niebieskiego mundurka”. Bohater tej książki — Sprężycki — (domyślamy się, że jest to autor „Wspomnień”) — żegna tam u bram miasta Pultuska przejeżdżającego Syrokomle. Ale to tylko anegdota, opis miłego zdarzenia. „Urodzony Jan Dębóróg” oto co w czytelniku wywoła praw-

◆ FAKTY ◆ PLOTKI ◆ FAKTY ◆ PLOTKI ◆

W WALCE Z HEINE-MEDINA

Prasa francuska ogłasza, że wśród 18 milionów osób zaszczepionych przeciw tej chorobie zastrzykami francuskimi wynalezionymi przez dr Lépine, nie zanotowano w tym roku ani jednego zachorowania.

POBOŻNOŚĆ

Pierwsze pytanie, jakie zadał Ibn-Saud przybywając do swych apartamentów w Bonn w czasie swej ostatniej tam wizyty, było: „Gdzie tu jest uschód?” I natychmiast kapłan rozścielił w tym kierunku modlitewny dywan.

UPRZEJMY

Władze sądowe Japonii zwolniły pewnego więźnia, który niewinnie przesiedział w celi 2 lata. Dziennikarzom, którzy chcieli się dowiedzieć, dlaczego ani razu nie wniósł zażalenia ani protestu, były więzień odpowiedział: „Nie chciałem po prostu sprawiać kłopotu policji”.

MATRYMONIALNE

„Samotny, zdrowy, uczuciowy, pozna w celu matrymonialnym osobę

do lat 90” — takie ogłoszenie musiało wywołać zaciekawienie. Reporter który udał się pod wskazany adres, zastał 80-letniego pana Shaw zdziwionego zainteresowaniem, jakie wywołał: „Cóż w tym niezwykłego? Lekarze zapewniali mnie, że dożyję setki! Chcę też zaznaczyć, że mam dość duże wymagania i ożenię się tylko z miłością”.

SPADEK

W swym testamencie niejaki p. Norman J. Mead (Anglia) zarządził, aby cały jego majątek przypadł tej osobie spośród jego naturalnych dziedziców, która wygra w rodzinnych rozgrywkach szachowych.

BEZPIECZEŃSTWO RUCHU?

W czasie „Tygodnia bezpieczeństwa ruchu” w zachodnim Berlinie zanotowano 6 wypadków śmiertelnych i 113 zranień, gdy normalnie statystyk wykazuje w takim samym okresie 108 rannych i 4 zabitych!

IONESCO

(autor „Krzeseł”) zaprosił po swej ostatniej paryskiej premierze („Jak się go pozbyć”) pewną damę do ba-

ru na kawę. „Nie mogę spać, jeśli piję kawę” odrzekła zaproszona. „Ciekawe, u mnie jest wprost przeciwnie, jak śpię, to nie piję kawy” odpowiedział zdziwiony Ionesco.

BRASSEUR

sławny aktor francuski (m. in. „Porte de Lilas”) stanął kiedyś swym samochodem na wyznaczonym gwoździu przejściu ulicznym. Podchodzi do niego policjant: „Czy nie byłby pan łaskawy otworzyć na przestrzał drzwi od samochodu, żeby przechodnie mogli skorzystać z przejścia?” zapytał.

MARYNARKA

Powołany do armii, pewien młodzieniec dowiadyuje się, że przydzielono go do marynarki.

— Umiecie pływać? — pyta go oficer.

— Jak to — odpowiada speszony poborowy — macie chyba jeszcze okręty?

CZŁOWIEK W NIEPRZEMAKALNYM PŁASZCZU



GO NOWEGO ZOBACZYMY NA POLSKICH EKRANACH



A więc z Anglii zakupiliśmy film sensacyjno-obyczajowy, reżyserii Carol Reeda pt. „STRACONE BOŻYSZCZE”. W rolach głównych zobaczymy Michele Morgan i Ralpa Richardsona. Argentyna pokazuje nam dramat miłosny pt. „KAMIENNE HORYZONTY”, a produkcja austriacka występuje z wesołą komedią pt. „TRZEJ PANOWIE NA ŚNIEGU”.

Czechosłowacja prezentuje dwuseryjny kolorowy film pt. „DOBRY WOJAK SZWEJK” zrealizowany na podstawie słynnej powieści J. Haseka. W roli Szwajka wystąpi Rudolf Hrusínský. Tej samej produkcji zobaczymy dramat historyczny pt. „STRACENCY” oraz komedię „ALENA”. Jak zwykle bogato reprezentowana jest produkcja francuska. I tak na ekrany wejdą: „CZŁOWIEK W NIEPRZEMAKALNYM PŁASZCZU” sensacyjna komedia z Fernandem i Bernardem Blier w rolach głównych, „PIĘKNA I POTWÓR” (tyt. tymcz.) nowoczesna baśń filmowa w której miłość kobiety przywróciła potworowi ludzki wygląd, reżyserii R. Clementa - Jean Marais i Josette

CO NOWEGO W KSIĘGARNIACH

Janusz Makarczyk — „PRZEZ MORZA I DZUNGLE”. Wydawnictwo „Śląsk”.

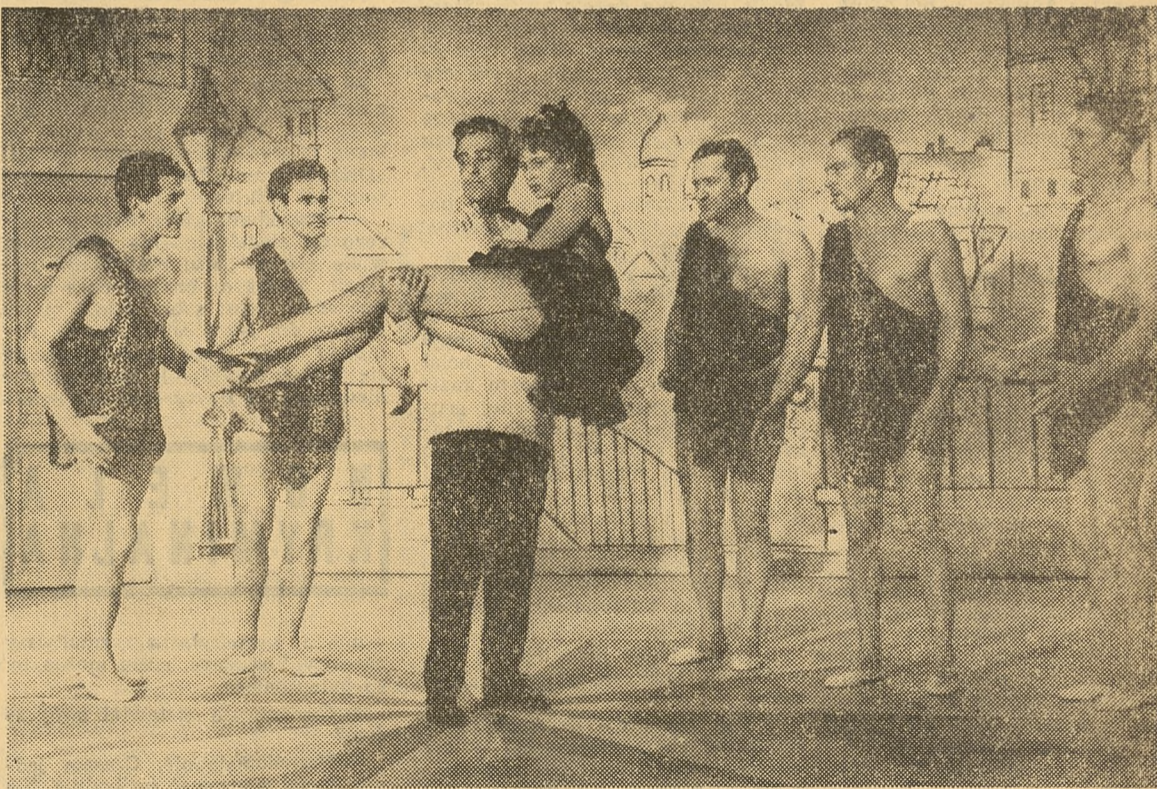
Janusz Makarczyk — „RÓŻE Z PIASKU”. Wydawnictwo „Śląsk”.

Władysław Łoziński — „PRAWEM I LEWEM”. Wydawnictwo Literackie Kraków.

Zdzisław Hierowski — „CZTERY SZKICE”. Wydawnictwo Literackie.

Jan Kurczab — „CZARNA KAWA”. Wydawnictwo Literackie.

Bronisław Heyduk — „OGRÓD NIEPLEWIONY”. Nasza Księgarnia.



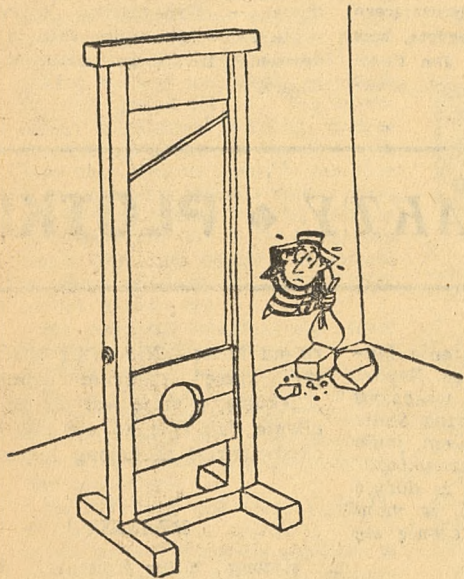
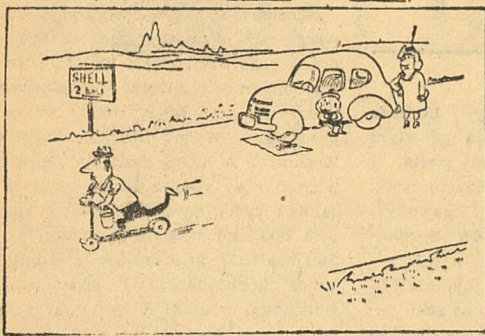
Day w rolach głównych. Film oparty na autentycznych dokumentach o działalności partyzantów norweskich w okresie ostatniej wojny pt. „BITWA O CIĘŻKĄ WODE” (kooprodukcja franc.-norw.). Jean Gabin i Nicole Courcel zobaczymy w propagandowym filmie o bezbolesnych porodach reżyserii Jean-Paula le Chanois, pt. „BEZ BÓLU”. „NIEZNAJOMI W DOMU” (tyt. tymcz.) to poetycka baśń średniowieczna zrealizowana przez M. Carnea. Poza tym zobaczymy dwa filmy kryminalne a mia-

nawlecie „KTO ZABIŁ” i „WIDMO”, sensacyjno-obyczajowy film pt. „ZŁOTY KASK” oraz „ZBRODNIA I KARA”, film reżyserowany przez G. Lampina, w którym wysępuje Marina Vlady. Z filmów włoskich na ekranach ukażą się: „PAISA” reżyserii Roberto Rosselliniego — „WAKACJE Z GANGSTEREM” sensacyjny film młodzieżowy — „NIEBIESKIE PTAKI” dramat obyczajowy przedstawiony satyrycznie przez Federico Felliniego — „TRUDNE LATA” film ukazujący satyrycznie stosunki fa-

szystowskie we Włoszech reżyserii Luigo Zampy oraz „PRIMAVERA” film zrealizowany przez Renato Castellaniego. Ze Związku Radzieckiego otrzymamy barwny film zrealizowany wg. opowiadania Maksyma Gorkiego pt. „MALWA” — dramat obyczajowy „ZŁODZIEJ” oraz w reżyserii G. Kozincewa film zrealizowany wg. dzieła Cervantesa pt. „DON KICHOT”.

BRIGITTE BARDOŃ W NOWYM PANORAMICZNYM FILMIE FRANCUSKIM PT. NIEZNOSNA DZIEWCZYNA

HUMOR



Leszek Maruta

Rewelacje światowej nauki i techniki

Technik dentystyczny z Niemiec zachodnich, Hans Friedrich, Schnellzug oświadczył, że w najbliższym czasie zastosuje nowe metody szybkiego usuwania zębów drogą korespondencyjną.

Po otrzymaniu zgłoszenia p. Schnellzug wysłał pod wskazany adres zaufanego służącego, który, udając inkasenta elektrowni, zniemaczką wyrzucił pacjenta w zęby. Dzięki zaskoczeniu, pacjent uniknie nerwowego wyczekiwania w poczekalni u dentysty.

*

M. Pierre Sansculotte z Bordeaux, właściciel fabryki konserw, zapowiedział rozpoczęcie produkcji wysokokalorycznych koncentratów.

I tak np. kotlet wieprzowy, który normalnie waży 100 g, w koncentracie ważyć będzie 1 g (razem z kocią). Ceny nie ulegną zmianie.

*

Chemik austriacki, F. Litera, zrobił ostatnio analizę otaczającego nas powietrza. Jak stwierdził F. Litera, powietrze obok azotu, tlenu itp. gazów zawiera także inne substancje lotne jak np. dym z papierosa, parę z czajnika, kurz z elektroluxa oraz opary alkoholu, szczególnie w okolicy barów i restauracji.

*

Docent F. Percy z uniwersytetu w Little Nice Dogs skonstruował lokomotywę parową. Na wiadomość jednak, że wynalazek ten posiadli już Rosjanie, rozbił ją o przydrożną wieżbę.

*

Adiunkt Instytutu Technicznego w Almaviva, Miguel Alfonso di Torpeda zapowiedział wysłanie z Almavivy rakiety międzykontynentalnej. Uroczystość wyznaczono na dzień Wszystkich Świętych. Jakież jednak było zdumienie zebranych tłumnie gości tudzież generacji, kiedy z otworu wyrzutni wyleciał skowronek, i wzblił się, śpiewając, w niebiosa.

*

Uczni amerykańscy zapowiedzieli, że w najbliższym czasie wyślą w przestworza satelitę, który pod każdym względem pobije swych radzieckich konkurentów.

Otóż w odróżnieniu od tamtych, sztucznych księżyców, ma to być prawdziwy księżyc!

*

Rewelacją na skalę światową okazał się wynalazek znakomitego uczonego prof. Davida M. Roupuchy. Ma on kształt parasola z rączką, zaopatrzonego w druty pokryte materiałem pepito. Wg. informacji prof. Roupuchy, wynalazek ten służyć będzie do ochrony przed deszczem.

*

Na pustyni Nevada dokonano wybuchu nowej broni — bomby jubilerskiej. Po eksplozji na ziemię spadł deszcz wyrobów ze złota i platyny m. in. zegarki, bransoletki, papierosnice, cygarniczki.

Władze federalne podejrzewają wynalazcę bomby prof. Golda o pospólny sabotaż.

*

Konstruktor australijski Joseph Mc Forsa skonstruował samodzielnie rower, na którym żona jego udaje się na zakupy.

Jak podaje inż. Mc Forsa, rower taki skonstruować może każdy, pod warunkiem, że posiada części rowerowe.

*

W Okocimiu konstruktor-amator z tamtejszych browarów zmontował sztucznego satelitę.

Objekt ten ma kształt beczki z piwa, zatykanej na szpunt. Wewnątrz mieścić się będzie zapas portera i zagrycha na trzy dni.

Na pasażera — niestety — miejsca nie starczy.

Satelita ten wyrzucony będzie z § 38 przez dział kadr w/w zakładów w Okocimiu.

*

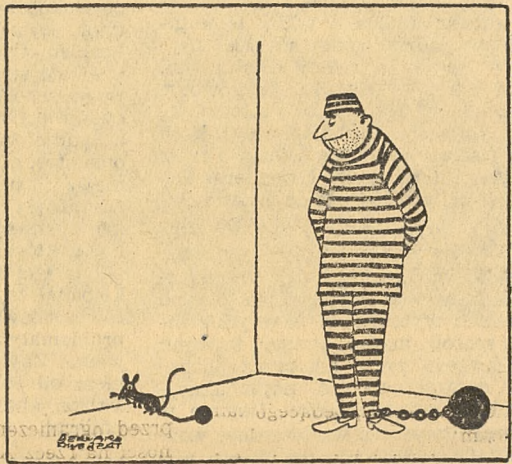
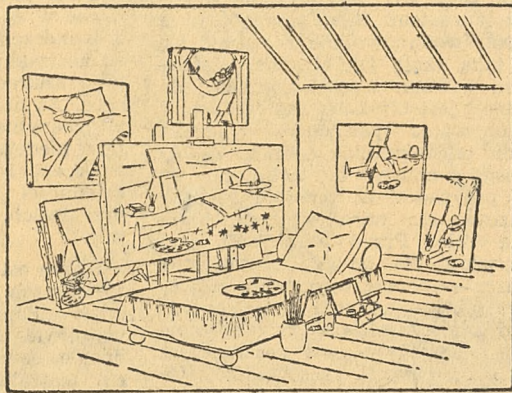
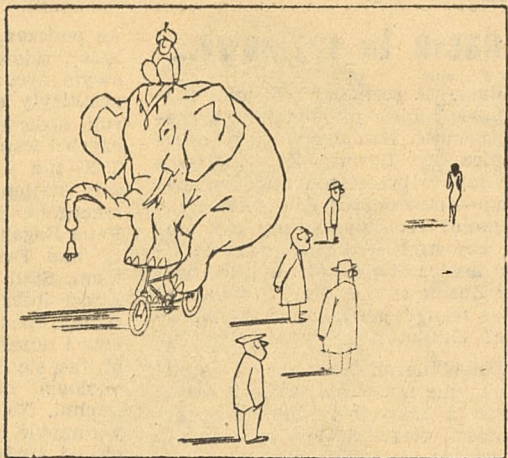
Na polach w okolicy Wadowic pojawili się tajemniczy przybysze z innej planety. Po wylegitymowaniu ich przez organa MO, puszczono ich wolno.

*

Radioamator Franciszek P. (nazwisko w posiadaniu redakcji) zamieszkały w Kocmyrzowie odebrał na swoim aparacie tajemnicze sygnały z kosmosu.

Jak się okazało, nadawał je latający talerz, fajansowy, głęboki, który niedawno zniknął z tamt. gospody GS-u.

HUMOR



Michael Innes

TRZEJ BRACIA

— Stary Jozue Hopcutt — powiedział inspektor Appleby — był przez całe życie zamożnym przemysłowcem. I był nim jeszcze nawet wtedy, gdy przestał wytwarzać cokolwiek oprócz kłopotów dla swego otoczenia. Zmarł w późnym wieku, żyjąc w swej wspaniałej willi w Harrowgate w stanie jak to mówią, na pół zabalsamowanym.

— Czy to był ten sławny Hopcutt od „Ponczoch Hopcutta”? — zapytałem.

— Tak jest. Całą jego karierę można by przedstawić jako rodzaj misji: otworzył on Angielkom oczy na fakt, że mają nogi i że ich moralnym obowiązkiem jest wykorzystywanie tego atutu. Nie był bynajmniej zafocowanym starszym panem, ale miał rygorystyczne i staromodne poglądy na własność i t. d.... Jedynym znanym mi przejawem jego dowcipu, jeśli można to tak nazwać, były nadanie trzem synom imion: Tom, Dick i Harry.

— Czy to były trojaczki? — Nie, wcale nie. Hopcutt za każdym razem zaledwie zdawał się spozstrzegać, że jego niezawodna żona wydała na świat syna i tak szedł przez życie. Córce nie mieli. Pani Hopcutt zresztą zmarła dając życie Harry'emu, więc więcej dzieci już nie było. Chłopcy chowali się, jak mi się zdaje, nie zajmując się zbyt wiele ojcem.

Appleby przerwał na chwilę, a ja zadałem jedno z tych pytań, które są obliczone na popchnięcie opowiadania dalej.

— A przedsiębiorstwo? Czy Tom, Dick i Harry zajmowali się nim?

— Z pewnością. Nie mieli wycucia dla czaru wełny, jedwabiu i nylonu. Jeśli Tom interesował się nogami, to bynajmniej nie tym, czym można było je przyodziąć za 14 szvingów i 11 pensów: ożenił się z chórzystką. Rozwiódł się z nią zresztą i wyjechał samotnie do Kanady. — Po kłótni z ojcem?

— Nie, może w lekłym stanie niezgody, tego nie da się zataić. Starszy pan, choć miał surowe zasady, nie był fanatykiem. Toma rzeczywiście porwała przygoda i tak czy inaczej znalazłby sposób na prowadzenie niezwykle niebezpiecznego życia. Zrobił raz wyprawę do domu rodzinnego i wtedy wyszło na jaw, że wyrósł tymczasem na pięknego, brodatego twardego mężczyznę pogranicza.

A ten średni, Dick?

Dick był też na swój sposób przedsiębiorczy, aczkolwiek jego dzieje są smutne: postradał on wzrok w oddziałach Commandosów. To było specjalnie przykre, ponieważ chciał zostać malarzem. W każdym razie znalazł zaczepienie w pewnej grupie naukowców zajmujących się zagadnieniami akustyki i rozwinął do niesłychanego stopnia precyzji swój doskonały słuch. Więcej jeszcze: ponieważ był inteligentny, szybko opanował ten zakres nauki i nawet mógł się poszczycić wniesieniem do niej pewnych osiągnięć. Żył prawie w zupełnym odosobnieniu, poświęcając się wyłącznie swej pracy.

— Co nie miało już miejsca z najmłodszym, Harry'm, prawda? zapytałem.

— Pan ma rację — Appleby uśmiechnął się z przymusem — tak właśnie było. Harry był pośrednikiem — pechowym — i prowadził życie niemal tak prozaiczne jak jego ojciec. Niemniej jednak miał w sobie coś z przedsiębiorczości i awanturniczości i co przesyłało u niego w manię, której oddawał się z zapamiętaniem. Harry był speleologiem.

— Grotolazem?

— Tak: jaskinie, podziemne rzeki itp. To jest dziś dość szeroko rozpowszechnione, więc Harry należał do kilku klubów i towarzysztw łączących ludzi o tych samych co on zainteresowaniach. Ale był także trochę samotnikiem i lubił chodzić od

czasu do czasu osobno i działać na własną rękę. Można by powiedzieć, że trudno o coś bardziej niebezpiecznego. Zapomniałem dodać, że Harry nie był żonaty. Żył samotnie, zdany na łaskę starszawej gospodyni, ale był zupełnie swobodny jeśli chodzi o oddawanie się swej podziemnej obsesji. I tak co drugi tydzień odbywał swoje wyprawy.

— Właśnie wybierał się na jedną z nich, gdy gospodyni przyniosła mu telegram. Otworzył go i wydał okrzyk niezadowolenia. Wykrzyknął: „Dzikus przyjeżdża do Southampton! Cóż za kłopot!”

— Gospodyni, która była u Harry'ego od niedawna, nie zrozumiała wiele z tego. „Mój brat Tom” wyjaśnił „wraca do kraju i chce mnie odwiedzić. Musi sobie jednak przez te parę dni jakoś sam poradzić. Ponieważ mnie zawiadomił, postaram się wrócić wcześniej, może w poniedziałek”. I Harry skończył pakowanie i wyruszył, nagryzłszy adres w Yorkshire, gdzie można by go było znaleźć.

NOVELA KRYMINALNA

— Czy zawsze zostawiał swój adres?

— Prawdopodobnie. Czasem jednak chciał wędrować swobodnie. Nie było zapewne nic niezwykłego w tym, co zrobił. A to, co powiedział, przygotowało gospodynię na zareszowaną postać, która pojawiła się zaraz za kilka godzin później. Nie wiasta wytłumaczyć, że jej pracodawca wyjechał, ale że prawdopodobnie wróci za 3-4 dni. Dzikus nie wyglądał na zbyt zadowolonego, ale powiedział, że porozmawia z bratem telefonicznie.

Appleby przerwał, jakby się zastanawiał, jak opowiedzieć mi dalszy ciąg tej historii. — No więc Harry pojechał do Yorkshire i spędził

parę dni z grupą takich jak on entuzjastów, wszystkimi swymi starymi i dobrymi znajomymi. Potem ruszył dalej, robiąc tylko ogólnikową wzmiankę, że rzuci jeszcze okiem do szczeliny Grendale.

— Cóż to takiego?

— Wejście do grupy podziemnych pieczar w Cumberland. Potem Harry Hopcutt po prostu znikł i wtedy wezwano policję.

— Pana?

Appleby zaprzeczył. Młody Howley zajął się tą sprawą. Początkowo gospodyni Harry'ego nie alarmowała, gdyż była przyzwyczajona do wypraw i braku wieści o swym chlebodawcy. Dopiero Dzikus narobił ruchu. Dzwonił wielokrotnie pytając, co robimy w tej sprawie. Po upływie trzech tygodni zjawił się sam w Scotland Yard i zażądał energiczniejszych poszukiwań. Nikomu nie przyszłoby na myśl kwestionować jego alarmów. Poszukiwania za Harry'm zorganizowano w całym kraju. Wszystko co znalezione, to było ubranie i plecak oraz urwana lina.

— Koło szczeliny w Grendale?

— Nie, w Gimlet, w miejscu podobnym do tamtego, ale dalszym i niebezpieczniejszym. Odkrycie wskazywałoby, że Harry zniknął na zawsze. Podziemna rzeka Alph nie była w najmniejszej mierze skłonna oddać swej ofiary, gdyż wody jej wpały do straszliwie głębokiej rozpadliny.

— To, co później nastąpiło, było już zupełnie banalne. Adwokaci rodziny podjęli się sprawy, Tom-Dzikus wprowadził się do mieszkania Harry'ego dla opieki nad rzeczami. Wtedy właśnie nasz młody sierżant Brian Howley odwiedził go. Dzikus bowiem zaofiarował nagrodę za każdą wiadomość o bracie, a Howley poszedł mu wytłumaczyć, że policja już zrobiła swoje i że nikt nie ma tu już więcej do zrobienia. Zajął mu to 5 minut, a byłoby trwało 4, gdyby Dzikus nie zgłosił się w międzyczasie do telefonu: „Tak, tutaj Tom Hopcutt” powiedział. Powtórzył to, chwilę odczekał i powie-

śluchawkę. „Dziwne, — powiedział do Howley'a swym kanadyjskim akcentem, — międzymiastowa, ale przerwano połączenie”.

Appleby ciągnął dalej. — Howley z rozmowy tej nie wyciągnął żadnych wniosków, ale w ciągu kilku godzin brodaty Dzikus znalazł się w więzieniu!

Byłem wstrząśnięty. — To on zabił Harry'ego? — zapytałem.

To był Harry! — mój drogi. To chyba jasne?

Zaintrygowany, potrząsnąłem głową.

— Z fałszywą brodą nie można zajść daleko; bo właśnie z f a l s z y w ą brodą Harry zaprezentował się swej gospodyni, wysławszy uprzednio telegram do samego siebie. Po tem pojechał do Yorkshire pokazując się towarzyszmom w swej normalnej postaci, następnie udał się na samotną wyprawę i czekając aż mu wyrosnie własna broda, telefonował od czasu do czasu do swej gospodyni. Dopiero z odpowiednio wyhodowanym zarostem zjawił się z powrotem w roli Toma, już na state.

— Ale dlaczego? Jaki miał w tym cel?

— Odkrył, że Tom zmarł w Kanadzie i to w tak tajemniczych okolicznościach, że nikt o tym nie wiedział. Podając się za Toma, podszedł Dicka, dziedziczącego z kolei majątek ojca. Bo trzeba wiedzieć, że wg wspomnianych już poprzednio poglądów na własność starego Hopcutta, dziedziczył tylko najstarszy syn. W każdym razie taki był jego plan, gdyby się wszystko nie wykryło.

— A co go właściwie zdemaskowało?

— Słuch Dicka. Harry liczył na jego ślepotę, ale zapomniał o słuchu. To Dick właśnie telefonował i to Dick poznał, że mówi z Harry'm pomimo udawania kanadyjskiego akcentu. Niewątpliwie, z chwilą, gdyśmy się znaleźli na właściwej drodze, fałszywy „Dzikus” był skończony!

Tłum. J. PIĄTKOWSKI

KOESPONDENCJA STALIN-CHURCHILL-ROOSEVELT

U Churchilla przejawiały się niekiedy w ściśle określonych momentach „cechy charakteru” zupełnie obce Anglosasom. Potrafił być hojny. Kiedy J. Stalin zwrócił się do niego w liście z dnia 3 września 1941 r. z prośbą o sprzedaż ZSRR dodatkowo 200 myśliwców — Churchill w odpowiedzi swojej zwrócił uwagę na słowo „sprzedać”, które dla jego ucha brzmiało dość niemiło: „My nie patrzmy na tę sprawę z takiego punktu widzenia i nigdy nie myśleliśmy o zaplacie. Byłoby lepiej, gdyby wszelka pomoc okazana wam przez nas opierała się na tej samej płaszczyźnie koleżeńkości, na której opierają się amerykańskie przepisy o land-lease, a więc bez formalnych rozrachunków pieniężnych”.

Ten gest ze strony Churchilla jest zdumiewający.

Ale Churchill był zbyt wielkim politykiem i dyplomata, aby nie zrozumieć faktu, że sytuacja wojenna, w jakiej znalazła się Wielka Brytania, nie pozwala na żadne „targi”.

Udzielając dość znacznej pomocy ZSRR Churchill nie zapomniał o pewnych delikatnych sprawach, które były zlecane oficerom angielskim. W związku ze zorganizowaniem konwojów przybywających z Anglii do Murmańska i Archangielska zaistniała potrzeba rozbudowania dość znacznej administracji angielskiej na terytorium Związku Radzieckiego. Administracja ta rozrosła się do nadmiernych granic, a część jej kadry oficerskiej zajmowała się sprawami nie mającymi nic wspólnego z pomocą.

Stalin szybko zorientował się w sytuacji i rygorystycznymi przepisami portowymi ograniczył swobodę ruchów marynarzy angielskich. Churchill zaprotestował w swoim liście z dnia 1. X. 1943.

... a) „Nikt nie może wylądować na brzeg z jakiegokolwiek statku JKM lub z brytyjskiego statku handlowego, jak tylko na kuterze radzieckim w obecności funkcjonariusza radzieckiego i po przeprowadzeniu każdorazowej kontroli dokumentów”.

b) Nikt z brytyjskiego statku wojennego nie ma prawa przejść na brytyjski statek handlowy bez uprzedniego zawiadomienia o tym władz radzieckich. Odnosi się to nawet do brytyjskiego admirała, będącego tam przełożonym;

c) Od oficerów i żołnierzy brytyjskich żąda się, aby zaopatrywali się w przepustki zanim zejść ze statku na brzeg i zanim będą mogli poruszać się na brzegu, od jednego do drugiego brytyjskiego biura; wydawanie tych przepustek często trwa bardzo długo, powodując dezorganizację wykonywanej pracy.

d) Żadne przesyłki, bagaż lub poczta przeznaczone dla tego personelu nie mogą być wylądowane inaczej, jak tylko w obecności urzędnika radzieckiego, przy czym wymagane jest przestrzeżenie liczących formalności dla wysyłki wszelkiego bagażu i poczty;

e) Korespondencja prywatna podlega cenzurze, chociaż dla personelu operacyjnego tego rodzaju cenzura — moim zdaniem — winna być przeprowadzana przez brytyjskie władze wojskowe.

Wprowadzenie tych ograniczeń wywołuje zarówno wśród oficerów jak i żołnierzy nieprzychylnie dla anglo-radzieckich stosunków nastroje. Spowodowano by wielką strasę, gdyby się o tym dowiedział parlament angielski. Wszystkie te formalności utrudniały efektywne wykonywanie nabożnych obowiązków, przy czym nie rzadko przy wykonywaniu terminowych i ważnych czynności. Personel radziecki w Anglii nie podlega tego rodzaju ograniczeniom.

Postawiliśmy już p. Molotowowi wniosek, aby w wypadku łamania radzieckich przepisów prawnych przez wojskowy personel brytyjski i personel statków handlowych — przekazywać sprawy brytyjskim władzom wojennym celem rozpatrzenia. Wypadków takich było niewiele. Niewątpliwie powstały one częściowo z powodu surowych warunków niesienia służby na Północy.

Dlatego gorąco wierzę, że Pan uzna za możliwe wydanie zarządzenia, celem rozwiązania tych trudności w duchu przyjaźni tak, abyśmy mogli pomagać sobie nawzajem i w wspólnej sprawie, o ile to będzie w naszej mocy”.

Stalin odpowiedział Churchillowi dość żwawie i stanowczo:

„W odniesieniu do wspomnianych przez Pana formalności i nie-

których ograniczeń stosowanych w portach północnych, należy mieć na uwadze, że w strefie przyfrontowej formalności takie i ograniczenia są niezbędne, jeżeli nie zapomniemy o sytuacji wojennej, w której znajduje się ZSRR. A do tego ograniczenia te stosowane są w jednakowej mierze, tak w stosunku do brytyjskich i w ogóle zagranicznych, jak i radzieckich obywateli. Tym niemniej wobec brytyjskich oficerów i marynarzy władze radzieckie zastosowały cały szereg przywilejów, o czym zakomunikowaliśmy posłowi brytyjskiemu jeszcze w marcu br. Tak więc wzmiankowane przez Pana liczne formalności i ograniczenia oparte są na niedokładnych informacjach...”

Nie widzę potrzeby zwiększania ilości brytyjskich wojskowych na północy ZSRR, ponieważ przytłaczająca większość znajdujących się tam oficerów brytyjskich nie jest wykorzystana we właściwy sposób i już na przestrzeni długich miesięcy skazana jest na bezczynność, o czym władze radzieckie już donosiły. Dla przykładu można wymienić tutaj 126 brytyjską bazy portową w Archangielsku, o likwidacji której, z powodu jej nieprzydatności, mówiono już tyle razy, a na likwidację której strona brytyjska dopiero obecnie wyraziła zgodę.

Posiadamy również, niestety, fakty niedopuszczalnego zachowywania się poszczególnych wojskowych brytyjskich usiłujących w szeregu wypadków za pomocą przekupstwa zwerbować niektórych obywateli radzieckich do celów wywiadowczych. Tego rodzajuz ubliżające dla obywateli radzieckich zjawiska powodują oczywiście incydenty prowadzące do niepożądanych komplikacji”.

Tak więc w okresie wspólnych działań wojennych i trwałego sojuszu między ZSRR a Anglią — Anglia udzielając pomocy wojennej i gospodarczej prowadziła równocześnie na terytorium radzieckim akcję wywiadowczą, a Churchill prosił Stalina o zniwiedzenie „formalności i ograniczeń portowych” wobec oficerów angielskich.

Trzeba przyznać, że nieprzejętna indywidualność J. Stalina, jego siła woli i dokładne informacje wywiadu uchroniły ZSRR w tym okresie przed ograniczeniem jego suwerenności na rzecz Anglosasów.

W roku 1942 Stalin potrzebował pomocy tak militarnej, jak i gospodarczej. W liście do prezydenta Roosevelta z dnia 7. X. 1942 roku Stalin pisze: „Byłoby dobrze, gdyby USA na wszelki wypadek zagwarantowały nam następujące dostawy miesięczne: myśliwców — 500 szt., samochodów ciężarowych — 10.000 szt., aluminium — 5000 ton, materiałów wybuchowych — 4—5000 ton. Oprócz tego ważne jest zabezpieczenie dostaw w ciągu 12 miesięcy — 2 mln ton zboża (pszenicy), a także odpowiadających ilościom wysyłkowym odpowiednich ilości tłuszczów, koncentratów, konserw mięsnych. Moglibyśmy dostarczyć własną flotą znaczną część artykułów spożywczych przez Władywostok, gdyby USA wyraziły zgodę na odstąpienie ZSRR, celem uzupełnienia naszej floty, bodaj 20—30 statków.”

O wszystkim już rozmawiałem z p. W. i przekonany jestem, że on zakomunikuje Panu o powyższym”.

Już w dniu 16. X. 42 r. Stalin otrzymał list od prezydenta Roosevelta o następującej treści:

„Odpowiadając na Pańską prośbę — rad jestem zakomunikować Panu, że towary, o których mowa, mogą być wydzielone dla wysyłki według następującej tabelki:

pszenica — 2 miliony ton w ciągu pozostałego okresu roku objętego protokołem, w jednakowych mniej więcej ilościach miesięcznych
samochody ciężarowe — 8—10 tys. miesięcznie
materiały wybuchowe — 4 tys. ton w listopadzie i po 5 tys. ton w następnych miesiącach
mięso — 15 tys. ton miesięcznie
konserwy mięsne — 10 tys. ton miesięcznie
słonina — 12 tys. ton miesięcznie
środki mydlane — 5 tys. ton miesięcznie
tłuszcz roślinny — 10 tys. ton miesięcznie.

W najbliższym czasie zawiadomę Pana o dostawach aluminium, które są jeszcze przedmiotem moich studiów. Wydałem zarządzenie, aby nie szczędzić żadnych wysiłków dla zapewnienia marszrut naszych statków z towarami i zachowania zgo-

dnie z Waszym życzeniem priorytetu tych zobowiązań, które zaciągnęliśmy wobec Was”.

W okresie tym Roosevelt zaproponował, aby samoloty przeznaczone dla Związku Radzieckiego dostarczane były przez lotników amerykańskich i wyraził nawet gotowość wysłania amerykańskich oddziałów lotniczych, które by walczyły na froncie rosyjsko-niemieckim pod bezpośrednim dowództwem oficerów amerykańskich, podporządkowując się pod względem taktycznym dowództwu radzieckiemu. — Jednak Stalin w uprzejmej formie nie wyraził na to zgody.

W liście swym z dnia 18 grudnia 1942 r. pisze: „Będę Panu bardzo wdzięczny, jeżeli Pan przyspieszy wysyłkę samolotów, szczególnie my-

śliwców, ale bez ekip lotniczych, które są Panu tak bardzo potrzebne, celem wykorzystania ich na odpowiednich frontach. Specyfika sytuacji w lotnictwie radzieckim polega na tym, że posiada ono lotników więcej niż w dostatecznej mierze, lecz odczuwa brak samolotów”.

Inna propozycja amerykańska dotycząca kontroli rosyjskich obiektów wojskowych na Syberii (oczywiście z tytułu udzielanej pomocy ZSRR) — została ze zrozumiałych względów przez Stalina kategorycznie odrzucona.

13 stycznia 1943 r. Stalin pisze do Roosevelta:

„Pańska propozycja, aby gen. Bradley dokonywał inspekcji rosyjskich obiektów wojskowych na Dalekim Wschodzie oraz w innych czę-

ściach ZSRR, wywołuje zdumienie. Całkowicie zrozumiałe jest, że rosyjskie obiekty wojskowe mogą być wizytowane jedynie przez inspekcję rosyjską, tak samo jak amerykańskie obiekty wojskowe mogą być kontrolowane wyłącznie przez inspektorów amerykańskich. W tej dziedzinie nie można dopuścić do żadnych niejasności.

Odnosnie wizyty w ZSRR gen. Marshalla muszę powiedzieć, że dla mnie nie jest całkowicie jasna misja gen. Marshalla. Proszę o wyjaśnienie celu i zadań tej wizyty, abym mógł świadomie ustosunkować się do tego zagadnienia i przestać Panu moją odpowiedź”.

c. d. n.

Opracował
MIKOŁAJ KUPLOWSKI

J. THORWALD

A oto dalszy ciąg tragedii, jako rozegrała się na okręcie „Wilhelm Gustloff”.

Panika uciszyła się dopiero po pół godzinie, kiedy stwierdzono, że okręt przestał się zanurzać. Śmiertelny strach ustąpił miejsca nadziei, że jednak nadejdzie ratunek i to tym bardziej, że dowództwo okrętu podało przyrzeczenie Koloibrzegu wysłania statków. Zimno i sztorm spędziły ludzi z pokładu górnego pod osłonę pokładu spacerowego, gdzie dopiero nastąpiła reakcja po przebiegłych wyczerpujących prześiściach. Kobiety płakały, ciężko ranni opadli znowu na materace, matki wyzywały rozpaczliwie zaginionych dzieci...

Jednocześnie dokoła okrętu rozgrywała się dzika walka o życie. Przeładowane łodzie, które w końcu udało się spuścić na wodę, tkwiły otoczone setkami ludzi utrzymujących się wprawdzie na powierzchni, lecz kostniejących na oczach. Gromady innych, uciepionych kurczowo lin zrzuconych z łodzi, błagały o ratunek i zmiłowanie. Pojedynczych wciągano na łodzie — inni toneli skoro tylko opuścili ich siły...

Tak doczekano godziny 22. W oddali wyłonił się prom marynarki, czyniąc próby dopłynięcia do statku, gdy nagle „Wilhelm Gustloff” dęgnął — masy wody wdarły się na dno pokład. Wypadki potoczyły się teraz z szybkością błyskawicy. W ciągu 60 sekund statek przechylił się całkowicie na bok. Pokłady stanęły prostopadle do powierzchni morza. Blisko 2000 ludzi nie zdążyło już przedostać się z niżej położonych kondygnacji na górne partie. Ziemia uciekla im spod nóg. Przebijające szklane przegródki pokładu spacerowego runęły w głąbie morską. Kominy zamurzyły się już pod wodę, a jeszcze mężczyźni i kobiety tłoczyli się na płaszczyznę szymborku (prawa strona okrętu) i staczali się stamtąd na oślep w lodowate odmęty.

Okręty „Admirał Hipper”, krawozwłok „T. 36”, torpedowiec „Mewa” i inne zdołały uratować 950 rozbitków, ale zagrożone przez podwodne łodzie radzieckie wycofały się z akcji. 5000 uciekinierów z Prus Wschodnich znalazło śmierć w morzu.

*

Mniej więcej w czasie, kiedy „Wilhelm Gustloff” tonął, w porcie Piława dzieci niemieckie stały się czymś w rodzaju biletów okrętowych. Wtedy, w czarnych dniach narodu niemieckiego, wydał ktoś postanowienie, że matkom, ojcom lub babkom z dziećmi przysługuje pierwszeństwo w zaokrętowaniu. Wykorzystywały to kobiety znajdujące się już na pokładzie i swym matkom, siostrom lub krewnym, czekającym na molo, zrzucały zwiniaćka z niemowlętami, by uatwić im przedostanie się na okręt. Zdarzało się często, że dzieci wpadały w wodę, pomiędzy ścianą okrętu a molo. Zdarzało się też, że wpadały w rozfalowany tłum i ginęły pod nogami walczących o nie ludzi. Często też wpadały w ocean ręce...

Z końcem stycznia Piława była nabita uciekinierami. Eksplozja magazynów amunicji, która wydarzyła się w tym właśnie czasie, zamieniła ulicę dobiegowe w jedno wielkie rumowisko. Zwaliska poprzetykane były porzuconym przez uciekinierów mieniem — kufry i toboły, skrzynie i worki, wózki dziecięce i zabawki, bezczujki smalcu i świeże bite wleprzki, łożka i maszyny do szycia walały się pomiędzy cegłami.

Nad tym wszystkim górowali ludzie — ludzie w nieustannym marszu. Były tam kobiety ciężarne, ro-

KIEDY NIEMCY DOGORYWAŁY

FRAGMENTY SŁYNEJ KSIĄZKI (V)

dzące po kątach, w sienlach, w barakach.

Byli ciężko ranni z ukrytą pod kocem bronią, by zmusić sanitariuszy do zabrania ich lub skonczyć z sobą nim wpaćną w ręce nieprzyjaciela. Były aerowy wsadzone w ostatniej chwili na wóz bez odzienia, leżące z odmrożonymi kończynami. Byli jeńcy rosyjscy, transportowani na najwyższy rozkaz na Zachód — wstrząsając żalostny pochód ludzi w drewniakach, z głępką naciśniętymi na czoło papachami, w łachmanach powiazanych papierowym sznurkiem. Byli także starcy, którzy potknąwszy się padali, by nigdy więcej nie powstać. Byli też szalenie obłądzeni wzrokiem, którzy biegali od wozu do wozu wzywali swoich bliskich. Byli wreszcie pary złożone przez przypadek, które uchodziły w ruiny, by tam we dnie czy nocą dać folię żywicielowi tkwiącemu w nich pedowi do życia wbrew przynależącej ich trwodez bliskiego końca. Nad wszystkimi górowało szare niebo, śnieg, mróz i odwilż, oraz odwilż, mróz i śnieg i zimna, mordercza wilgoć.

Cały ten strumień ludzki dążył do portu. Nieustanny szurgot nóg przyspieszających kroku na widok okrętów, do których każdy chciał dotrzeć pierwszy, nawet za cenę pozbycia się bagażów.

*

Luksusowy parowiec „General Steuben”, który odpłynął z portu

HISTORIE

Piława dnia 9 lutego o godz. 15,30, był poważnie przeładowany. Poza więcej niż dwoma tysiącami rananych i 400-osobową załogą, doładowano w ostatniej chwili ponad 1000 uciekinierów. Po raz pierwszy od długiego czasu gładni otrzymali pożywienie, przemarznięci odczuli dobroczynne skutki ciepła, a nie stanna opieka lekarzy i pielęgniarek napawała wszystkich uczuciem bezpieczeństwa, przynosząc nie odczuwane od tygodni odprężenie.

Pomiędzy godziną 22 a 23 „Steuben” wpłynął na najniebezpieczniejście odcinek morski na wysokość Stolupian. Pamiętając o katastrofie „Wilhelma Gustloff’a” w tym właśnie rejonie, „Steuben” szedł na najszybszym kursie.

Zegary na pomoście wskazywały dokładnie godzinę 1 dnia 10 lutego, gdy nagle wstrząsnęła okrętem gucha detonacja, a jednocześnie dzwonek alarmowe oznajmiły „Ogień na okręcie”. Po chwili statek stanął nieruchomo. W ciągu następnych kilku minut dokonana się cała reszta: statek zaczął tonąć, oświetlany jaskrawym światłem reflektorów z eskortującego poszukiwacza min. W ciągu kilku minut przód okrętu za-

nurzył się po przedni komin, po czym okręt przewalił się na bok. Do rozpaczliwych i rozbrzmiewających na całe mile krzyków ludzi zamkniętych we wnętrzu statku, dołączyły się wystrzały pistoletowe tych, którzy w ten sposób kończyli swe życie, i tych, którzy zabierali życie innym, by wywalczyć sobie przejście...

Krótko po godzinie pierwszej statek zatonał ostatecznie. W śmiertelnej ciszy, jaka nastąpiła po tym, rozpoczęła się całymi godzinami trwająca walka o życie tych niecierpliwych, którym udało się opuścić okręt

*

Gauleiter Albert Forster wierzył bezwzględnie w Hitlera, ale przeciwstawiał tej wierze narastający z biegiem czasu swój własny osąd krytyczny. Był przekonany, że w razie załamania się frontu wschodniego miliony ludzi zostaną wprawione w ruch i daleko asilował nawiązać kontakt z Erichem Kochem, lecz Koch odrzucił spotkanie z uwagą: „Tylko jeden Rosjanin nie postawił nogi w Prusach Wschodnich”.

W rozmowie z gen. Lüdecke, jaka odbyła się tuż przed katastrofą, powiedział Forster m. in.: „Zanim nam coraz częściej powątpiewać w słuszność decyzji Führera. Długość bojem pozostawia się w Kurlandii duże siły, zamiast podciągnąć je do obrony ziemi odczystej? Dlaczego wszczęto ofensywę w Ardenach? Fakty mówią, że było to proste manowanie sił. Tym niemniej, n rzucające mnie wątpliwości niżną wobec przekonania, że w tym wszystkim, co się obecnie dzieje, musi być jakiś sens. Czysty przypadek nie wprowadzaj Niemiec z grząz wiskwa, w jakim tkwią. Ja osobiście wierzę w cud. Wierzę, że Bóg zesłał nam Hitlera, by w ostatecznym wyniku otworzył z wólnych Niemiec opokę kultury zachodniej, o którą rozdziera się napór Wschodu. Po cóż innego miałby go Bóg ocalić w dniu 20 lipca? Chodzi teraz tylko o to, by Zachód uświadomił sobie, po której stronie stoi prawdziwy wróg. Kierownicy polityki mają chyba bielmo na oku, skoro tego nie widzą... Ja, Niemiec z południa, rozumiem z roku na rok lepiej, ile żywotnych soków niemieckich tkwi tutaj, na Wschodzie. Niemcy bez Wschodu są nie do pomyślenia. Wielką misję kulturalną spełnić możemy tylko wtedy, jeżeli pozyskamy sobie polską ludność, albowiem ustępstwa i zaufanie rodzą zaufanie, podjęzliwość rodzić musi wrogię nastawienie...”

Po raz ostatni pojawił się Forster na arenie dnia 4 kwietnia, kiedy zupełnie złamany fizycznie i psychicznie został w Helu wywieziony na zachód przez nieznaną okręt. Przekazany Polsce przez mocarstwa zachodnie, został postawiony przed polski sąd w Gdańsku. Bronił się jako i spokojnie. Pełne nienawiści zeznania pewnego Volksdeutscha, dawnego jego podwładnego, przyniosły Forsterowi wyrok śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

28)

DADAIZM

(dokończenie)

Trzeci nurt rozwijał się w Paryżu. Był to nurt przede wszystkim literacki. Koncentrował się wokół awangardowych pism „SIC”, „Nord-Sud”, a wreszcie „Littérature”, którą w marcu 1919 r. założyli Breton, Aragon i Soupault i prowadzili wspólnie do 1922 r. przy współpracy Ribemont-Dessaignes'a, Euarda, Péreta i Cravana. „Littérature” — podobnie jak pierwsze publikacje zuryjskich dadaistów — miała początkowo charakter dość eklektyczny. Walczyła o sztukę nowoczesną, modernistyczną, o prawo do swobodnego eksperymentu, szukając pozytywnych rozwiązań m. in. we wchodzącym w modę freudyzmie.

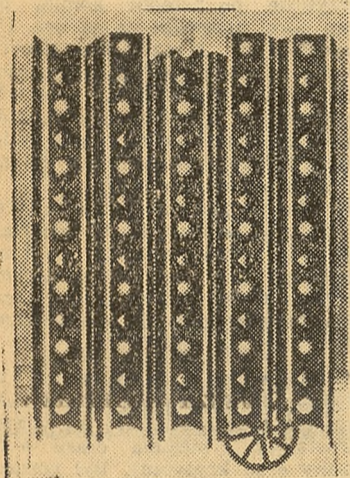
Wszystko jednak zmieniło się gdy w końcu 1919 r. przybyli do Paryża Picabia i Tzara. Miejsce dotychczasowych dyskusji zajęła totalna nega-

gronie dadaistów zaczynają się tarcia i niesnaski. Negacja i tylko negacja nie wszystkim odpowiadały. Gdy w 1922 r. Breton wysunął projekt zwołania w Paryżu międzynarodowego kongresu intelektualistów reprezentujących myśl nowoczesną, Tzara odmówił udziału. Po paru jeszcze incydentach dadaizm zakończył żywot. Breton skwituje to stwierdzeniem: „pozostawił po sobie

dencjach pismo „Der Ventilator”, natychmiast zresztą skonfiskowane przez angielskie władze okupacyjne, a Max Ernst, który już w czasie wojny był w kontakcie z zuryjskimi dadaistami biorąc udział w ich wystawach, tworzył przy współpracy przybyłego świeżo z Zurychu Arpa słynne później collages, m. in. serie zatytułowaną „Fatagaga” (Fabrication de tableaux garantis gazome-



INŻYNIER HEART FIELO (1920)
GEORG GROSZ.



MAX ERNST „MALUTKI KANAŁIK”
LZOWY, KTÓRY MÓWI: TIK, TAK, (1920)

KURT SCHWITTERS MERZ 82:
RYSUNEK F (1920)



cja. „Można powiedzieć, że dopiero od tej chwili datują się prawdziwe narodziny Dada”, wspomina Ribemont-Dessaignes; spod jego pióra wyszło to tak dla postawy dadaistów charakterystyczne wyznanie: „Co znaczy piękny? Co znaczy brzydki? Co znaczy wielki, silny, słaby?... Nie wiem. Co znaczy — ja? Nie wiem, nie wiem, nie wiem”.

Równocześnie Picabia i Tzara przeszczepiają na paryski grunt prowokacyjne spektakle. „Publikacje, manifestacje, wystawy następują po sobie w przyspieszonym rytmie, teraz już ze ściśle opracowaną techniką skandalu i blażenswa. Sukces Dada w Paryżu był ogromny, bez wątplenia dlatego, że nihilizm ten odpowiadał powszechnemu powojennemu uczuciu zniechęcenia i dawał mu wyraz w nowej i błyskotliwej formie. Przede wszystkim jednak dlatego, że dadaizm nie żałował sobie talentu ni dowcipu. Fajerwerk ten był podsyćcany (poza Picabia i Tzara) przez ekipę gwiazd, z których większość stała się później sławną” (Hugnet). Wkrótce jednak w

nie wiele żalu: jego wszechpotęga i tyrania sprawiły, że stał się na dłuższą metę nie do zniesienia”. Ostatnim echem dadaizmu jest film „Antrakt” zrealizowany w 1924 r. przez René Claira według scenariusza Picabii, który zaprojektował dekoracje i występował w filmie jako jeden z aktorów obok Marcela Duchamp, Man Raya oraz kompozytora Erika Satie, autora muzycznego akompaniamentu.

Zdecydowanie polityczny charakter przybrał dadaizm na terenie Niemiec, włączając się na swój sposób w rewolucyjną falę jaka przeszła przez wyniszczoną wojną Niemcy. W latach 1918—1920 działała założona przez Huelsenbecka grupa berlińska — Baader, Haussmann, Friedlander, Carl Einstein oraz Georg Grosz, malarz i grafik, który poświęcił swoją twórczość walce z niemiecką burżuazją i militarystką, dając w obrazach i rysunkach niesłychanie zjadliwą i ostrą satyrę społeczną i polityczną. W Kolonii Baargeld zakłada dadaistyczne, o zdecydowanie komunistycznych ten-

triques — Fabrykacja obrazów gwarantowane gazometrycznych). Wystawa zorganizowana w 1920 r. w piwiarni Wintera wywołała tak wielki skandal, że musiała interweniować policja, która wystawę zamknęła. W dwa lata później Max Ernst przeniósł się do Paryża i grupa kolonijńska rozpadła się. Trzecią wreszcie grupę założył w Hanowerze poeta i malarz Kurt Schwitters, autor „Merzów”, abstrakcyjnych collages komponowanych głównie z fragmentów gazet, plakatów, papieru pakunkowego, starych biletów a nawet przeróżnych odpadków wyciągniętych ze śmietnika, wychodził bowiem z założenia, iż „Cokolwiek artysta by nie wypluł, to i tak będzie sztuką”.

Około 1922 r. ruch Dada zamiera zarówno we Francji jak i w Niemczech, a spadek po nim przejmują surrealiści, w większości zresztą dawni koryfeusze dadaizmu. Z drugiej strony dadaizm burząc z pasją tradycyjną koncepcję dzieła sztuki, odrzucając tradycyjny sposób widzenia, przyczynił się w dużej mierze do rozwoju sztuki abstrakcyjnej.

postanawia usunąć z szeregów związkowych chuliganów karanych za wykroczenia przeciwko spokojowi i bezpieczeństwu mieszkańców Nowej Huty. Równocześnie Prezydium RZ HiL żąda usunięcia pracownika, skreślonego z listy związkowej z takich przyczyn, z terenu zakładu pracy i z terenu miasta”.

Ważnym czynnikiem poprawy byłaby zmiana polityki kryminalnej. Milicja — Prokuratura — Sąd i władze administracyjne każdy z tych organów działa niejako w odosobnieniu. Bez wspólnej, konsekwentnie prowadzonej polityki kryminalnej nie ma mowy o radykalnych zmianach.

Brońmy się. Należy zastosować nawet drastyczne środki. Pamiętajmy bowiem — mordercy są wśród nas.

JACEK ŻUKOWSKI

MORDERCY SĄ WŚRÓD NAS

(Dokończenie ze str. 3)

OFICEROWIE MILICJI RELACJONUJĄ —

nam bandyckie noże, by nie uderzał kastet zwyrodnialca, by nie hulali bezkarnie pogrobowcy Łojasa.

PROKURATOR MGR SZULC Z NOWEJ HUTY MÓWI —

— Należy duży nacisk położyć na wychowanie młodzieży. Zbyt niski wymiar kary jak również zawieszanie kary rozluźnia tylko przestępców. Także operatywność milicji pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

— Mamy określony limit benzyny na przejazdy. Jest on grubo niewystarczający. Po jego wyczerpaniu wszystkie wozy zawieszamy na kołkach, wzywani na miejsce przestępstwa pędzą na piechotę, bo nie ma nawet rowerów.

Fragm. z uchwały Prezydium Rady Zakładowej Huty im. Lenina: „Aby zapobiec w przyszłości powtórzeniu się wypadków bandytyzmu Prezydium Rady Zakładowej HiL

JERZY BOBER

SAMI NIE WIEMY, CO POSIADAMY!

Wsiadamy do autobusu przy końcowej stacji tramwajowej w Borku Fałęckim (vide mapa Wielkiego Krakowa), po czym szosą zakopiańską zmierzamy ku Mogilanom. Naturalnie, uśmiech satysfakcji towarzyszy jeździe, równie gładki i łagodny, jak taśma asfaltu. Kiedy zyskaliśmy już dobre samopoczucie — zapominamy o kierunku: Mogilany—Zakopane i wtedy autobus gwałtownie skręca wyboistym gościńcem w lewo. To właśnie nasza droga. Model co prawda, nie zachęcający — ale w pełnym tego słowa znaczeniu — tradycyjny. Podskakujący, niczym statek na wzburzonym morzu, wehikuł — nie sprzyja ważnym obserwacjom okolicy. — Wstrząśnięci, osiągamy cel podróży.

Krajobraz pozostawimy estetom. Ongiś był tu piękny park, tudzież aleje róż, pełno zieleni, pełno kuracjuszy — a na uroczym wzniesieniu: biały dworek... Stop! Nie wolno już stosować schematów. Milcz serce sentymentalisty — niech okolicy się prostym napisem z tablicy orientacyjnej: SWOSZOWICE! A nos? Cóż to za zapach? Nos więc szuka źródła...

OD ŹRÓDŁA HISTORYCZNEGO — DO HISTORII ŹRÓDŁA

No, tak — jesteśmy u źródła! Na razie, u źródła historycznego. Albowiem asocjacje węchowe przywołują wspomnienia szkolnych ćwiczeń z fizyki i chemii: siarkowodor.

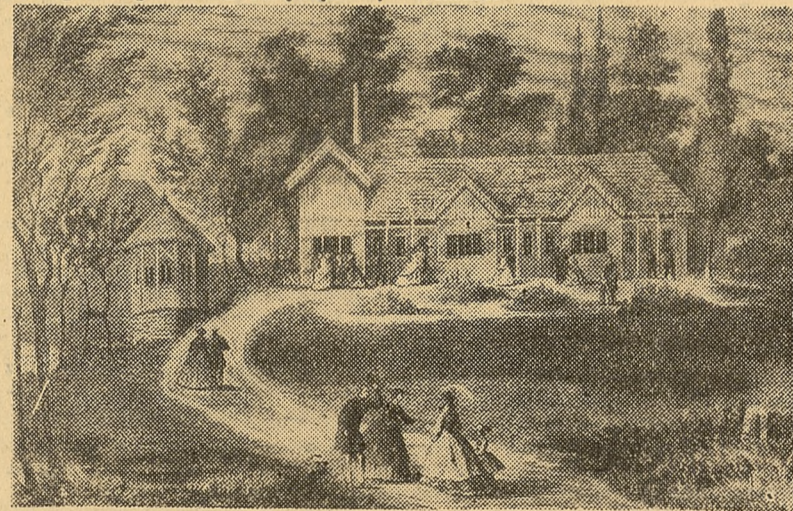
Siarka, wybaczyć Czytelnicy, to już nie tylko moda, ale i kawał modelu gospodarczego. Odkryliśmy ostatnio siarkę w Tarnobrzaskiem. Tym niemniej, w skromnych Swoszowicach — wydobywano ją, o czym donoszę z radością odkrywcy połączeń tradycji i współczesności — ok. XV wieku! Dokumenty zaś szesnastowieczne z Batorym i Zygmunt III na czele — mówią to w sposób wyraźny i zrozumiały, zwłaszcza dla filologów klasycznych, bo po łacinie...

Obok kopalni — ujawniły się źródła wody siarczanej. Historia źródeł tych nie umijęscowia, co wskazuje na pochodzenie poszłoniowe. Mniejsza o to! Grunt, że woda swoszowicka zawierała własności lecznicze. Stąd i źródło nazwy „ZDRÓJ” swoszowicki.

Źródło zaczyna swoją, jako tako u-normowaną historię „leczniczą”, od działalności właściciela Swoszowic, prof. UJ Feliksa Radwańskiego, który w r. 1811 wybudował i uruchomił tam pierwsze łaźniarki.

NAPOLEON I C.K. BAD POD KRAKOWEM

Nie, proszę państwa, Napoleon nigdy nie był w Swoszowicach. Za to obok głównego źródła znajduje się



Swoszowice w r. 1869

tu drugie, ochrzczone imieniem Napoleona. Przymyszczenie sentymentu Francuzów do „małego kaprała” nakazał im wysunąć propozycję zakupna i eksploatacji źródła. Działo się to w r. 1938. „Napoleon” nie był zresztą w ogóle eksploatowany do celów kąpielowych. Natomiast sława wód swoszowickich dotarła do Francji, a patriotyzm skrupulatnie wyważony kalkulacją finansową — stał się źródłem zainteresowania kapitału francuskiego dla podkrakowskiej wioski.

Ale, zanim do tego doszło — nastąpił rozkwit uzdrowiska z wszelkimi aspiracjami do miana c. i k. Bada Swoszowice. Prof. Radwański czynił, co mógł, żeby tutejsze łaźniarki uzyskały należny im rozgłos. Niestety, po zamknięciu granicy w wyniku walk powstania listopadowego, oraz po śmierci profesora — działalność kąpielowa Swoszowic zmalała niemal do zera. Dopiero Spółka Uzdrawisk Krajowych z prezesem dr Józefem Dietlem — wydźwignęła źródło z upadku.

Analizy chemiczne wody swoszow-

wickiej z miejsca wysunęły nieznaną źródło przed ówczesne sławne kąpieliska, jak Akwizgran, Kreutz, Weilsbach, Neudorf i Baden — ustępowały zaś nieznanym źródłom siarczanym w Trzcynie i Lubieniu k. Lwowa.

Oto, co pisze warszawski Tygodnik Ilustrowany o perspektywach Swoszowic pod datą 6. IX. 1862 r.: „Wody swoszowickie skutkują wybornie w wszelkiego rodzaju zardawionych gościach. Opatrzność oczywiście naszej nie szczędziła darów... wszystko jest, aby tylko była chęć i wytrwałość do pracy. Przez niedbalstwo, przez błędy utraciliśmy wiele. Starajmyz się, jeśli nie możemy odzyskać tego cośmy stracili, nie utracić przynajmniej tego co jeszcze mamy”.

Tak, tak — sto lat temu — a jakież to aktualne! Dlaczego? Bo takie znane i obecnie...

ŁAZIENKI BEZ KRÓLA STASIA

I wojna światowa przekreśliła plany rozwojowe bada pod Krakowem. Wojska austriackie rozebrały łaźniarki, zaś okoliczna ludność i czas dokonały reszty... Dopiero w r. 1920, jak opowiada najstarszy pracownik uzdrowiska, Karol Wiatrak — który od 60 lat jest związany z zakładem kąpielowym w Swoszowicach — kolejni właściciele zdrój, Staniewscy — zaciągnęli pożyczkę w USA, żeby w dwa lata później rozpocząć eksploatację leczniczych wód.

Nowe łaźniarki powstały w dawnym domu mieszkalnym, gdzie funkcjonują do dnia dzisiejszego. W latach 1922—1930 liczba kąpiele dziennych osiągnęła szczytowy stopień: 1200, przeciętnie po 3 zł za kąpiel! Swoszowice były i są czynne w tzw. sezonie letnim (od 1 maja do 31 października).

Rolę współczesnego króla Stasia zamierzali odegrać Amerykanie. Ich mecenat nad Swoszowicami miał wynosić 2 miliony zł na rzecz właścicieli. Transakcję chcieli przeprowadzić w r. 1929. Staniewscy żądali wówczas 2,5 miliona. Król Staś made in USA zrezygnował wobec tego z opieki nad łaźniarkami.

Rzecz charakterystyczna, że mimo zupełnego braku reklamy — nosy businessmanów zza oceanu — zwierzyły przeciw szansę Swoszowic. Zwietrzyły, ale my, Polacy — nie, wyciągnęliśmy z tego żadnych wniosków.

MILCZENIE NIE JEST — ŻŁOTÓWKA

No, więc — proszę państwa — zbliżamy się ku pewnym wnioskom. Pomyślcie, że brak tu jeszcze odcinka najnowszej historii Swoszowic. Właśnie!



Swoszowice w r. 1869

Podczas okupacji zakład kąpielowy pozostawał pod zarządem Niemców. Jak wynika z obserwacji nieocenionego Karola Wiatraka — nasilenie ruchu kuracyjnego przypominało czasy najlepszej prosperity i lat trzydziestych. Możliwości lecznicze wód siarczkowych zostały w pełni docenione przez niemiecką medycynę, dla której przewodnikiem stały się stare, austriackie wydawnictwa naukowo-propagandowe.

12 lat temu źródła swoszowickie przeszły znów w polskie ręce. Do r. 1950 zarządzał nimi zarząd miejski w Krakowie, od 1950 do stycznia 1956 pozostawały pod opieką C.Z.U., by ponownie wrócić pod skrzydła R. N. dla m. Krakowa.

W tym okresie nie uczyniono właściwie nic, żeby uzdrowisko swoszowickie spopularyzować — już nie za granicą, lecz po prostu — w kraju... Do tej pory milczenie, które jest odwrótnie proporcjonalne do przysłowiowego polskiego gadulstwa w innych dziedzinach — okrywało dość szczerze problem szerokiego (Dokończenie na str. 9)

Nasz konkurs „ZABAWY DZIECI”



Nagrodę w konkursie...

Nagrodę w konkursie „Zabawy dzieci” za ostatni tydzień otrzymuje zdjęcie nadesłane przez JAKUBA BARSZCZA, Kraków, Łobzowska 39 b, m. 6 (zdjęcie u góry). Drugie zdjęcie nadesłane przez LESZKA DZIEDZICIA, Kraków, ul. Wiśniowa 14/4 zostaje wyróżnione.

Przypominamy, że konkurs dalej trwa. Jak zdolałiśmy się zorientować, większość nadsyłanych zdjęć była wykonana w ciągu ostatniego lata a więc nie pod kątem warunków naszego konkursu. Zdarza się,

że Czytelnicy nadsyłają nawet zdjęcia sprzed kilku i kilkunastu lat. I tu leży źródło niepowodzeń. Chodziłoby o wykonywanie zdjęć, które przedstawiałyby rzeczywiście zabawy dzieci. Wymaga to dłuższej obserwacji i poświęcenia pewnej ilości taśmy filmowej. Bez włożenia odpowiedniej pracy trudno będzie mówić o wynikach. Mamy nadzieję, że dotychczas reprodukowane zdjęcia są dostateczną wskazówką dla naszych Czytelników, jakie zdjęcia mają szansę ukazania się na naszych łamach.

SAMI NIE WIEMY, CO POSIADAMY!

(Dokończenie ze str. 8)

wykorzystania rzadkich w Europie wód tego typu.

Przepraszam, ale gdybym zapytał Czytelników, co wiedzą o właściwościach leczniczych swoszowickich źródeł — zapewne spotkałbym się z wymownym milczeniem. Bo, nawet — jeśli znaczna część ludzi orientuje się w rozległym zakresie chorób gośćcowych, to jedynie garstka wtajemniczonych słyszała coś niecoś o Swoszowicach. Pomijając fakt, że nieświadomość tego poważnie utrudnia leczenie chorych w kraju — milczenie wobec zagranicy odbiera przez tyle lat tak potrzebne nam dewizy. Łamiemy sobie głowy, jak zwiększyć dopływ obcej waluty, przez cały rok rozprawiamy o turystyce, gdy tymczasem i bez walerów krajoznawczych moglibyśmy ściągnąć do Polski cudzoziemców, którzy leczą się w różnych „badach” o nierównie słabszej mocy wód siarczokowych!

Jest tu zatem pole do popisu i dla turystyki określonego typu! Owszem, pole — ale brak sanatorium w Swoszowicach...

Podczas rozmowy z dyrektorem Miejskich Zakładów Przyrodolecznicych Swoszowice—Mateczny, J. Kasprczykiem oraz lekarzem-balneologiem tychże zakładów, dr J. Mrozkim, którzy pragnęliby wreszcie prawdziwie po gospodarstwu przysłużyć się lecznictwu krajowemu i ujawnić poza granicami Polski istotne wartości Swoszowic — sprawy właściwej informacji o zastosowaniu w medycynie wód siarczokowych, stały się punktem wyjścia do udośćnienia podstawowych wiadomości na ten temat.

Wody lecznicze — mówi dr Mrozek — zarówno Swoszowic jak i

Krakowa - Podgórze (Mateczny) leżą skutecznie choroby z grupy reumatycznych w zakresie mięśni, stawów i nerwów, skutki przebytych urazów narządu ruchu (złamań kości, uszkodzeń mięśni, stawów, ścięgien, więzadeł, nerwów), choroby przemiany materii na tle skazy moczonowej (dnawy, artretycznej), wspomagają leczenie cukrzycy. Oddziałujące działanie wód zawierających siarkę, jest znane od dawna w leczeniu przewlekłych zatrueń, zwłaszcza metalami — odczuwające zaś i przeciwpalne (takie właściwości posiadają właśnie m. in. wody gipsowe, jakimi są wody Swoszowic i „Matecznego”) ich działanie jest cenione w leczeniu chorób skóry. Stosowane w postaci inhalacji dają dobre wyniki w leczeniu niektórych schorzeń dróg oddechowych, pite zaś działają korzystnie w przewlekłych nieżytach jelit i stanach zapalnych dróg moczowych. Oba zakłady lecznicze stosują ponadto borowinę z własnych pokładów i masaż lecznicze. Zabieg borowinowy w połączeniu z kąpielami siarczanymi przyspieszają likwidację resztkowych stanów pozapalnych kobiecych narządów rodnych.

Dodajmy, że owe wody gipsowe należą do niespotykanych dzisiaj na terenie całego kraju! Najbardziej znane źródła gipsowe za granicą, to: Szklano na Węgrzech, Vittel i Contrexeville we Francji, Viterbo, Mitterndorf, Brenner i Monte-Catini we Włoszech, Reinfelden, Vals, Weissenburg i Aquarossa w Szwajcarii, Arminius w Niemczech i Bath w Anglii. Źródło swoszowickie odznacza się jednak większą zawartością siarkowodoru!

Słyszałem, że pewna primabalerina opery poznańskiej bawiąc niedawno w Wiedniu, skarżyła się na

Uwaga, Czytelnicy!

Redakcja zawiadamia wszystkich Czytelników, że „Zdarzenia” począwszy od 1 września br. kolportowane są do wszystkich kiosków „Ruchu” na terenie województw krakowskiego i rzeszowskiego. W pozostałych województwach w „Zdarzenia” będą zaopatrywane jedynie węzłowe kioski, a więc na większych dworcach kolejowych, w centralnych punktach miast wojewódzkich, w hotelach, Klubach Prasy.

W związku z tym redakcja przypomina Czytelnikom, szczególnie z województw poza krakowskim i rzeszowskim, że gwarancją regularnego otrzymywania tygodnika będzie prenumerata pocztowa. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują placówki pocztowe oraz listonosze od 15 każdego miesiąca na okres następny. Cena: miesięcznie zł 6, — kwartalnie zł 18, — półrocznie zł 36, — rocznie zł 72.

POCZTA „ZDARZEN”

Specjalna pochwała należy się tygodnikowi „Zdarzenia” za poruszenie tematu o świadomym macierzyństwie. Zagadnienie jest bardzo aktualne. Dziwię się, że na nowo musiano odkryć metodę Ogino-Kaus znaną już na kilka lat przed wojną. Znam wiele rodzin mających po kilkoro dzieci a żony nigdy nie chodziły do lekarza celem dokonania zabiegów. Wiedziała sąsiadka, powiedziała drugiej i unikało się tym samym wielu kłopotów.

Nie zachwycać się natomiast powieścią o Mazurkiewiczach.

Życzę dalszej owocnej pracy a przede wszystkim wysiłku, by znikło piekło kobiet a lekarze nie musieli zrozpaczone kobiety odsyłać do domu, by szukały ratunku u pokątnych akuserek.

KAZIMIERZ NAKIELSKI

dolegliwości reumatyczne. Ze zdziwieniem dowiedziała się tam, że istnieją w Polsce jakieś Swoszowice, których wody są ponoć najlepsze w Europie...

Czas wreszcie rozbić ściany milczenia wokół Swoszowic! Milczenie naprawdę nie jest — złotówka...

SZAMPAN W DREWNIANYM KUBKU

Opowiadano mi, że odwiedziła kiedyś Swoszowice para lekarzy, Czechosłowaków. Wymieniano zdawkowe grzeczności i uwagi w związku ze zwiedzaniem namiastki uzdrowiska. Kiedy w końcu czescy goście, niejako dla dopełnienia całości wizyty, zajrzeli do małego arkusika z analizą tutejszych wód — ich poprawna uprzejmość wraz z obojętnym spokojem — zamieniły się w gorączkową wymianę zdań, popartą zaskakującą gestykulacją. — „Wiedziecie, wiedziecie — że... wy pijecie SZAMPAN drewnianym kubkiem!...” Sapięci sat. Tyle, że u nas — mądry Polak po szkodzie. Wydaje się, że jednak minęło już dość czasu w historii Swoszowic, by długotrwałą cierpliwością zasłużyły sobie na rzetelną reklamę!

Cóż wypadła jeszcze powiedzieć w sprawie propagandy swoszowickiej wody? Zagranica — zagranica, ale przynajmniej Polska, a nawet najbliższe powiaty woj. krakowskiego — powinny wiedzieć o znaczeniu Swoszowic... Szczególnie, gdy choroby goście nie oszczędzają ich mieszkańców. Powiedział bowiem Laségue, że „goście liże stawy — a kąsa serce”. Lekarstwo zaś znajduje się „pod nosem”.

Hm, ale my sami nie wiemy, co posiadamy...

JERZY BOBER

◆ Jak racjonalnie przejść z okresu lata do zimy? ◆ O sprawach odżywiania się, ubrania, zapobiegania przeziębieniom i uprawian'a sportów, mówią:

PROF. DR LEON TOCHOWICZ A. M. w Krakowie

Każda pora roku wymaga przestrzegania innych zasad higieny osobistej, zarówno pod względem odżywiania się, jak również odzieży, obuwia itp.

Za najkorzystniejszy okres dla zdrowia uważam w naszym klimacie lato i jesień. Tłumaczy się to przede wszystkim najbardziej umiarkowaną i ustaloną temperaturą w tym okresie. Drugą przyczynę stanowi możliwość najwłaściwszego odżywiania się produktami spożywczymi świeżymi, bogatymi w witaminy. Naszym pożywieniem w lecie powinny być jarzyny, owoce oraz nabiał. Natomiast należy ograniczyć spożycie mięsa i jego przetworów. Nie można też zapominać, że okres lata kryje niebezpieczeństwo łatwego psucia się żywności. Stąd często obserwujemy biegunki u dzieci i zatrucia przewodu pokarmowego u dorosłych. Z drugiej jednak strony, odporność ustroju na schorzenia w okresie lata jest bezwzględnie większa, niż w innych porach roku.

Okres zdrowego przetrwania zimy jest nie tylko sprawą właściwego ubrania ale również warunków opałowych. Należy także podkreślić, że w tym czasie zwiększa się łatwość zakażenia na skutek zagęszczenia przez ludzi pomieszczeń zamkniętych. Również warunki przestrzegania higieny osobistej są w zimie najtrudniejsze. W zimie notujemy największą zapadalność ludzi starych na narządy układu krążenia. Przyczynia się do tego już samo zimno i zmiana temperatury otoczenia w domu i poza domem, a ponadto częste zmiany warunków meteorologicznych. Jeśli idzie o nasz ubiór zwłaszcza w zimie, to jest on zbyt ciężki i to, m. in. może być przyczyną wyczerpywania się serca u ludzi starych, oczywiście w wypadkach schorzonego już układu krążenia. Należałoby zatem dążyć do zmodyfikowania naszego ubioru. Polecenia godne są pełnowartościowe, lekkie i ciepłe wełny. Praktyczne są również podpinkki płaszczowe. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na nieprzemakalne obuwie.

Zimą musimy stale pamiętać o ciągłym uzupełnianiu pożywienia witaminami. Jako skrajny przykład niedoboru w tym okresie ustroju w

witaminy oraz brak odpowiedniego nasłonecznienia, należy wymienić krzywicę u dzieci.

Z pokarmów zawierających bardzo dużo witamin, zalecić można kiszoną kapustę, owoce i wszelkie witaminowe wyciągi owocowe.

PROF. DR BŁAŻEJ GASTOL Zakład Higieny A. M. w Krakowie

Klimat w okresie lata cechuje się podniesioną temperaturą, przy czym organizm nasz dostosowuje się do tej temperatury. W tym okresie nosimy lekkie ubranie. Z uwagi na zmniejszoną wymienną ciepła, zapotrzebowanie kaloryczne jest na ogół mniejsze.

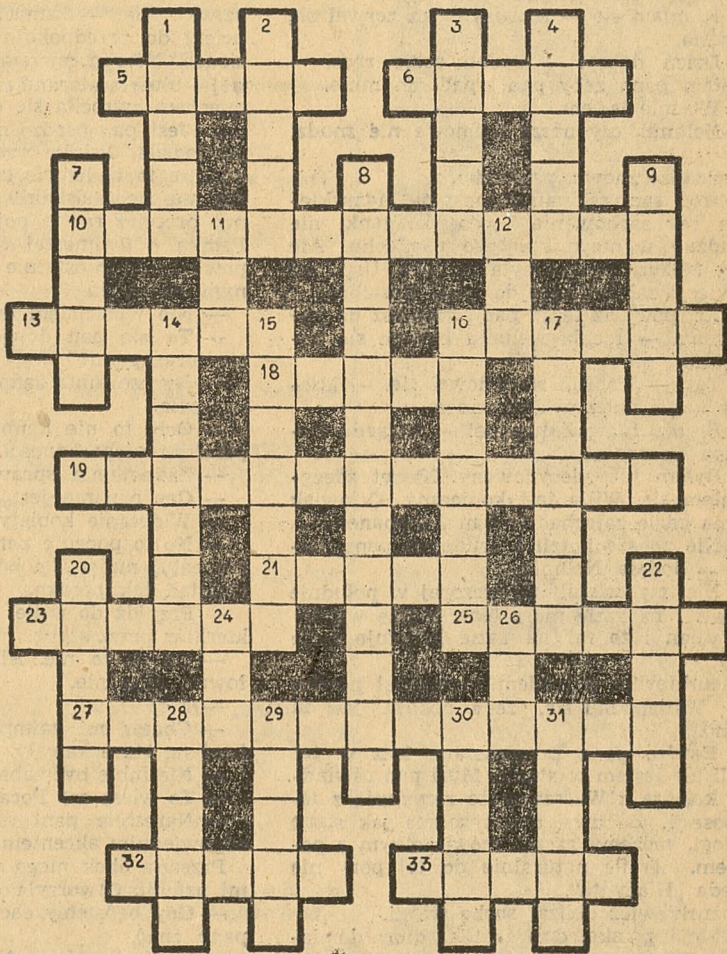
W okresie jesieni charakter klimatu zmienia się w sensie obniżania się temperatury oraz w sensie zwiększania się wilgotności powietrza. Zespół tych dwóch czynników, przy zwiększającym się ruchu powietrza pogarsza warunki klimatyczne, które grożą ochłodzeniem organizmu czyli nadmierną utratą ciepła przez organizm. Taki stan klimatu niewątpliwie sprzyja schorzeniom z tzw. przeziębienia. Ponadto, tworząca się ogromna ilość mgły zmniejsza nasłonecznienie i sprzyja oddawaniu ciepła przez organizm. W sumie, klimat taki stwarza pomyślne podłoże dla rozwoju chorób, jak np. grypy. Należy wobec tego odpowiednio dostosować fizjologiczną regulację ciepła organizmu. Czynnikiem pozwalającym na utrzymanie prawidłowej gospodarki cieplnej ustroju jest dobór odpowiedniego odzienia i zapewnienie właściwego mikroklimatu naszych mieszkań i warsztatu pracy.

W odżywieniu zwrócić uwagę na kaloryczność produktów spożywczych i na ich jakość. Zwiększamy więc spożycie tłuszczu i pełnowartościowego białka (białko zwierzęce). Poza tym, pokarmy spożywane przez nas powinny zawierać dużą ilość witamin, a przede wszystkim witaminy „C” (owoce, surówki jarzynowe).

W zahartowaniu, a więc zwiększeniu odporności organizmu podstawową rolę odgrywa uprawianie ćwiczeń fizycznych i sportów na wolnym powietrzu. Na uwagę zasługują tu oprócz gimnastyki, wycieczki i turystyka.

Rozmawiał JERZY KWIECINSKI

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 5. Wschoński tytuł członka domu panującego, 6. Prowincja w Chinach, 10. Obszerny życiorys napisany o sobie, 13. Rzeka wpadająca do M. Bałtyckiego, 16. Wyspy należące do Wielkiej Brytanii, 18. Mieszkaniec Podhala, 20. Masowe wypięcie ludzi, zagłada, 21. Następuje po dniu dzisiejszym, 23. Rzeka w Brazylii, 25. Taniec francuski o bardzo drastycznych figurach i gestach, 27. Zbieracz przedmiotów jednego rodzaju, 32. Przystąpienie do jakiejś organizacji lub partii, 33. Guzowaty przręcz błąchy śluzowej lub skóry.

Pionowo: 1. Przesadnie pobożny, 2. Organ dowodzący wojskami, 3. Zde-

rzak, 4. Tytuł zwierzchnika duchownego mahometan, 7. Tłuszcz zwierzęcy, 8. Narazienie siebie lub kogoś, na śmiech i wstyd, 9. Wybitny kompozytor austriacki (1732—1809), 11. Zaimpek, 12. Jednostka miary powierzchni ziemi, 14. Rzeka w woj. koszański, 15. Zbrojny napad jednego państwa na drugie w celach zaborczych, 16. Rzeka wpadająca do M. Łańcuch, 17. Miasto nad Obry, 20. Statek do przewozu ładunku, 22. Stolica państwa europejskiego, 24. Zaprzeczenie, 26. Spójnik przeciwstawny, 28. Powieść Bolesława Prusa, 29. Pierwiastek chemiczny, 30. Protegowany, faworyt, 31. Srebrna moneta wschodnioindyjska,

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(23)

— Nie chcesz, to nie. Widocznie jeszcze nie wiesz, że wszystko zależy ode mnie. Psinka nie robi nic bez mojej rady.

— Psinka? — uśmiechnął się Mazurkiewicz. — Tak, psinka. Nie podoba ci się? Dla mnie jest grubą psinką.

— Ja go nazwałem magistrem. — Mówił mi o tym. Bardzo mu się to spodobało. Mów tak do niego.

— Będę mówił. Spotkamy się? — Nie mam czasu. Psinka pilnuje mnie jak pies.

— Kupił cię zatem na noc i na dzień? Spojrzała na niego z niesmakiem.

— Nie jesteś zanadto grzeczny. — Przepraszam.

— Zawołałam go bo widzę że rozmowa się nie klei.

— Jesteś śliczna. — Ale kupiona — rozłożyła ręce z kąpiącą miną. Poszła do drzwi prowadzących do przedpokoju. Poruszyła się z wdziękiem i Mazurkiewicz zauważył że ma zgrabne smukłe nogi. — Karolciu! — zawołała uchylając drzwi — poproś pana.

Usiadła naprzeciw Mazurkiewiczowi zakładając wysoko nogę na nogę.

— Proszę papierosa. — Podał jej pudełko i podsunął ogień. Zapaliła z widoczną przyjemnością. Patrzyła teraz na Mazurkiewiczów chłodno i krytycznie.

— Ma pan za dużą głowę! — Głowa głowie nie równa.

— Ale pan jest raczej niski a taka głowa jakoś panu nie dodaje uroku.

— Pani się teraz mści na mnie. — Mści? — puściła kląb dymu — nie mi pan nie zrobił.

— A jednak! Pani się mści że oparłem się pani żądaniom.

— Ojoj. I pan z tego taki dumny. — Ależ nie. Bardzo cierpię.

Do pokoju wszedł Kobroń, pachnący z daleka silną wodą kolońską. Był odziany w płaszcz kąpielowy i lśnił czerwona wymyta skórą. Objął ich podejrzliwym spojrzeniem.

— Kłaniam się — Mazurkiewicz zerwał się z krzesła.

— Dzień dobry. — podali sobie ręce. — Prosiłem pana żeby pan wpadł do mnie.

— Właśnie jestem. — Neluniu, czy nasza rozmowa nie znudzi cię?

— Skądże znowu, psineczko. — Kobroń spojrział natychmiast na Mazurkiewiczów czy zachowanie jego kochanki nie wzbudziło u niego kąpiącego uśmiechu. Ale twarz Mazurkiewiczów była martwa. Uspokoił się więc i złożył ręce do tyłu. Westchnął.

— No, powiedz teraz panu co masz do powiedzenia — rzekła Nelunia bawiąc się papierosem.

— Tak — Kobroń zdecydował się. — Mieliszmy kupić wille w Zakopanem.

— Bardzo mi się wciągnęła — wtrąciła kochanka Kobronia.

— Byłem już zdecydowany. Nawet zdecydowałem się. Willa jest konieczna. Człowiek nie ma gdzie zająć w tym Zakopanem.

— Nie znoszę hoteli i brudnych pensjonatów. — dodała Nelunia.

— Niestety wlepił mi wczoraj w południe domiar. I na razie nic z tego. Muszę wypłacić milion i to mi na razie krzyżuje moje plany.

Mazurkiewicz z trudem zacerpnął powietrza. Wydało mu się, że w pokoju jest za duszno.

— Bardzo pana przepraszam, lecz w tej chwili nie jestem w stanie. Musi pan oświadczyć koleżdze z Warszawy że rezygnuję z jego posesji. Za dwa, trzy tygodnie jak stanę na nogi, możemy zacząć mówić o tym z powrotem. O ile naturalnie do tej pory nie sprzeda „Hiacynta”.

Mazurkiewicz obliżał suche wargi.

— Moja psinka, dostała taki duży domiar — Nelunia uklękła na krześle i zaczęła głaśkać Kobronia po policzkach — moje psineczki, zmartwione. Niedobrzy ludzie martwią psineczkę. Ale nic z tego, psineczka zarobi nowe pieniążki i wszystko będzie dobrze.

Kobroń nie miał odwagi zwrócić uwagę swej kochance, że obcy oziwiek jest świadkiem ich czułości. Zerkał tylko na Mazurkiewiczów czy scena z Nelą nie ośmiesza go w jego oczach. Ale Mazurkiewiczowi było daleko do śmiechu.

— Kolega z Warszawy... — powiedział po chwili... — czeka... myślał że pan... był pewny... miał już reflektanta...

— Cóż ja panu zrobię — Kobroń bardzo ostrożnie wycofał się z objęć Neli — jak nie

dam im miliona, to mi zamkną sklepy i nie zarobię nigdy innego miliona.

— Pan zdecydował się już...

— Przepraszam, jeszcze nie. Nie mogłem przecież kupować kota w worku. Mieliszmy właśnie jutro... — ugryzł się w język i obrzucił przerażonym wzrokiem Mazurkiewiczów.

— Co mieliście jutro? — spytała niewinnie kochanka.

— Właśnie mieliśmy dopiero omówić sprawę...

— Psinko! — Nela pogroziła mu palcem przed nosem — psinka mnie okłamuje.

— Ja? — uderzył się w piersi Kobroń — nigdy w życiu. Proszę, niech pan powie.

— Mazurkiewicz stał z zacziśniętymi pięściami. Był wściekły. Cały plan wyjazdu do Zakopanego, plan misternie ułożony spełnił na niczym. Dlatego też głuchym, nieprzyjemnym głosem odpowiedział.

— Nic takiego, proszę pani. Mieliszmyjechać do Zakopanego... z panem magistrem.

— Co znowu? Do jakiego Zakopanego? — bronił się Kobroń czerwieniąc na karku.

— Do Zakopanego! — wykrzyknęła Nelunia. Zeskoczyła z krzesła i podbiegła do Kobronia. — I ja o tym nie wiedziałam. — Masz! — uderzyła go mocno w twarz... — Masz. Chciałaś wyskoczyć na dziwkę. Masz dziwkę. — uderzyła go jeszcze raz.

Kobroń złapał się za policzek.

— Neluniu! — wykrztusił ze siebie — Co ty robisz? Przecież są obcy ludzie.



— Nic mnie nie obchodzi. Powiedziałam ci już raz. Za każdą dziwkę dostaniesz tak po mordzie, że ci się odniechce.

— Ale nie miałem zamiaru...

— Ja już cię znam. Nie dość że toleruję twoją żonę, to jeszcze mam pozwolić ci na dziwkę. Nie! — zamachnęła się, ale Kobroń uciekł do przedpokoju i zamknął się w łazience. Nela przejrzała się w szybę okiennej i ułożyła starannie włosy. Po czym z uśmiechem zwróciła się do Mazurkiewiczów.

— Jest pan bardzo miły, że pan mi o tym powiedział. Psinka robi się nieznośny. Nie dość że to to ledwie łązi, to jeszcze zachcewa mu się podskakiwać na boczki. Mogłiśmy przecież razem pojechać do Zakopanego. Psinka o dwunastej śpi już jak zabity. — powiedziała to ostatnie zdanie z niedwuznacnym akcentem.

— Nie wiedziałem że pani istnieje. — To się pan dowiedział. I co podobam się teraz panu?

— Jeszcze mnie żadna kobieta w życiu nie uderzyła.

— Och, to nie hańbi. Świadczy raczej o pańskiej nieporadności.

— Żadnej nie sprawiłem jeszcze zawodu. — Czy pan nie jest zanadto pewny siebie? — Widocznie kobiety mnie zepsuły.

— No to popuszaj pana do reszty. Chodź tu i pocałuj mnie. Nie bój się, on nie wyjdzie stamtąd tak prędko.

— Przyjdź do mnie. Nie lubię oglądać cukierków przez szybę.

— Co to, to nie. Albo chcesz mnie pocałować, albo nie.

— Nie!

— Chcesz mi zaimponować. Nie daję się brać na stare kawały.

— Nie lubię być zabawką. — To wiesz co? Pocałuj mnie w d... — Nareszcie pani uwieńczyła tę scenę odpowiednim akcentem.

Przeszła obok niego z pogardliwie wydytymi ustami. Otworzyła drzwi.

— Gdy będziemy chcieli kupić wille, damy panu znać.

— Dziękuję, nie jestem pośrednikiem. — Do widzenia panu.

Wyszedł na schody bez pożegnania. Wychyliła się za nim.

— Gdzie mieszkasz? — Był już na półpiętrze. Odkrzyknął ze złością.

— Bardzo daleko. — Świnia! — posłyszał a potem trzaśnięcie drzwi.

* Bundel zajmował swoje stanowisko w „Europejskiej”. Gdy zobaczył Mazurkiewiczów od razu powiedział.

— Coś ci nie poszło. — A niech to szlag trafi.

Bundel zamknął notes z zapiskami i wsadził do bocznej kieszeni.

— Słuchaj, dobrze że cię widzę. Zaproponuję ci coś.

— Mierzi mnie już ta zabawa.

— Tym razem rzecz poważna.

— Dolary?

— Nie!

— Nie chcę mieć do czynienia z żadną drobniacą.

Bundel nachylił się nad stolikiem.

— Coś poważniejszego. Potrzebuję takiego jak ty. Z prezencją, ze znajomością. No, nadajesz się bardzo.

— Mam nóż na gardle.

— Tym lepiej. Poznam cię z jednym facetem. Pogadacie sobie.

— Co to mi da?

Bundel zrobił wiele mówiącą minę.

— Możesz na mnie polegać. Z tobą bym nie odwał żadnej kity. Masz teraz czas? Mazurkiewicz rzucił okiem na zegarek.

— Jakąś godzinę.

— Dobrze. Poczekał tutaj. Muszę się porozumieć — wstał i poszedł do telefonu. Tymczasem kelner przyniósł małą kawę. Mazurkiewicz szukał młodej dziewczyny, która zwykle siedziała dwa stoliki przed nim. Nie było jej. Zabrał się do kawy mieszając gorliwie cukier. Wrócił Bundel i siadł naprzeciw.

— O dwunastej będzie cię czekał na ostatnim przystanku w Cichym Kąciuku.

Mazurkiewicz skrzywił się.

— Tak daleko?

— Pójdziecie sobie na błonia i pogadacie. On lubi spacerować.

— Po czym go poznam?

— Wiesz ja lubię kryminalne książki. Będziesz miał w ręku ten długopis — Bundel wręczył mu zielony długopis.

— I co dalej?

— Zobaczysz. A teraz uwaga!

Bundel cofnął się wgiąb kanapki. Do stolika podszedł Dowianek.

— Jak się macie starzy?

— Nieźle.

— Bo u mnie krucho. Nic mi nie wychodzi. Może dacie coś zarobić? Nie oglądałem setki od dawną. Zapomniałem już jak wygląda. Pokażcie spragnionemu.

— Władek, jesteś mi krewny dwie setki — przypomniał Bundel.

— Pamiętam.

— A czy ty pożyczasz? — Dowianek złożył ręce przed Bundlem.

— Było to dawno, kiedy byłem bogaty i wysokiego wzrostu.

— Mam do sprzedania dwa Fałaty, ale wam nie polecam bo fałszyfikat. Mówię nawet do wiersza — zaśmiał się sam do siebie Dowianek. — Zeszło mi na taką nędzę. A może coś wiecie o jakimś perskim futrze. Mam frajera który kupi.

— Zamknij się już z tą tandetą. — syknął Bundel. — Przyszliśmy żeby się napić kawy w spokoju.

Dowianek rozglądał się wokoło czy nie spotka jakiegos znajomego, by zaproponować mu swoje usługi.

— Nikt tu teraz ciekawy nie chodzi. — skostatował.

— Bo gorąco. Każdy siedzi w łazience albo na basenie.

— Basen! — stuknął się w czoło Dowianek. — To jest myśl. Chodźcie, obmyjemy swoje przysze zwłoki.

— Co za dowcipy!

— Widzę że was nudzę. Uciekam. Poczęstujcie jeszcze papierosem na odchodnym. Bryndza u mnie aż piszczy.

Masz — sapał gniewnie Bundel.

Dowianek wziął trzy papierosy, klepnął jednego i drugiego po ramieniu i wyszedł.

— Nie lubię takich ofiar. Nie weźmie się to do jakiejś pracy tylko czeka żeby go utrzymywać.

— Nie przyzwyczajony — zauważył Mazurkiewicz. — Nigdy nie pracował.

— Ziemiannin, psiakrew. Tata miał kilka hektarów i zaraz arystokracja. A do łopaty takich!

— Ale jakoś żyje.

— Człowieku, przez pewien czas litowałem się nad nim. Myślałem sobie ofiara reżymu. Nie umie się przystosować. Trzeba pomóc. Dałem do łapy jeden interes. Nic z tego. Spie-

przył. Dałem drugą. Wiesz taki że analfabeta by zarobił. Po prostu przenieść wiadomość z miejsca na miejsce. Cholera. Przegapił. Miał przykład zresztą z Absichtem. Nawet adresu nie potrafił zdobyć

— Sam mu wetknąłem kilka robót, wiem co umie.

— Widzisz. Nie można tego tolerować. Niech się weźmie za łopate. Teraz go tepie. Nie daje nic. Ktoś musi orać tę polską ziemię, nie?

— Ładnie będzie ona wyglądała — zaśmiał się Mazurkiewicz.

— A niech go cholera weźmie. Więc Władziu, dwunasta Cichy Kąciuk, długopis.

— Zgoda- Pojadę tramwajem spod Uniwersku.

— Nie masz na taksówkę?

— Nie o to idzie. Przejadę się jak na majówkę.

— No dobrze, tylko nie zawał. On specjalnie przyjeżdża.

— A kto to jest? Powiedz przynajmniej w paru słowach.

Bundel wykonał jakieś niezrozumiałe ruchy ręką.

— Dużo by trzeba gadać.

— Pewny?

— Na sto dwa.

— To idę.

— Trzymam palec na powodzenie.

— Cześć! Zapłać za kawę.

— Dobrze.

Mazurkiewicz wyszedł na CD i udał się powolnym krokiem pod Uniwersytet. Tam wsiadł do tramwaju, który trzęsąc i dzwoniąc posuwał się ulicą Manifestu Lipowego w kierunku Błonia. Było kilka minut przed dwunastą, kiedy wysiadł na ostatnim przystanku. Przeszedł na drugą stronę alei wysadzanej jesionami i usiadł na ławce. Z pobliskiego stadionu, gdzie mieściły się baseny kąpielowe dochodziły dźwięki melodii. Wyjął długopis i zaczął mu się przyglądać. Podniósł głowę słysząc pisk hamulców. Z taksówki wysiadł wysoki, przystojny mężczyzna. Rozzejrzał się bacznie i nie widząc nikogo na przystanku skierował kroki na aleję. Mazurkiewicz był przekonany, że to znajomy Bundla. Wsunął więc przed siebie długopis, jak malarz, który oblicza wysokości i proporcje trzonkiem pędzla. Nieznajomy dostrzegł Mazurkiewiczów, przeszedł obok raz i drugi, wreszcie podszedł do ławki.

— Czy można usiąść?

— Proszę bardzo — Mazurkiewicz zrobił mu miejsce obok.

Nieznajomy usiadł.

— Dawno jest pan w posiadaniu tego długopisu — spytał bez większego zainteresowania.

— Dostałem od przyjaciela.

— Ładny prezent.

— Właściwie pożyczka. Muszę go zwrócić.

— Ach, więc to nie pana. Kiedy go pan otrzymał?

Mazurkiewicz przez chwilę miał ochotę pobawić się z nieznajomym, ale przypomniał sobie, że Bundel zagwarantował mu większe pieniądze w związku z tą rozmową. Dlatego odpowiedział z naciskiem.

— Otrzymałem ten zielony długopis niecałą godzinę temu.

— Bardzo się cieszę — rzekł nieznajomy — jestem Kależak. Pan zna pana Bundla?

— To właśnie jego długopis.

— Tak sądziłem. Czy nie miałby pan nic przeciwko temu żebyśmy się przeszli trochę po trawie. Nie lubię rozmawiać siedząc.

— Ależ oczywiście.

Weszli na szerokie Błonia i Kależak poprowadził Mazurkiewiczów w stronę wałów Rudawy, tam gdzie dawniej istniało boisko „Juwieni”.

— Słyszałem o panu, że pan jest inteligentnym człowiekiem. Człowiekiem z tak zwaną przyszłością. Bardzo się cieszę. Z człowiekiem inteligentnym można się porozumieć. Zresztą ja już pana znam — uśmiechnął się zagadkowo Kależak.

Mazurkiewicz przystanął zdziwiony.

— Nie przypominam sobie — zmarszczył czoło pragnąc przywrócić pamięci twarz nieznajomego.

— Nie, nie przypominam sobie panu. Widzimy się po raz pierwszy. Znam pana z opowiadania. Pan był w Glueckstadt?

— W Glueckstadt? A tak! Byłem.

— W 1946 roku?

— Tak, pociągiem Czerwonego Krzyża.

— Czy przypomina pan sobie pana Skrobiejczuka?

— Nie.

— Musi pan sobie przypomnieć. Rozmawialiście długo na dziedzińcu Szpitala Wojakowskiego. Potem spotkaliście się w kafejce na Ryнку.

— Wie pan, to było sześć lat temu.

— Powiem panu więcej. Rozmawialiście o możliwości współpracy...

W tej chwili Mazurkiewicz przypomniał sobie Skrobiejczuka. Niski, krapy Ukrainiec w mundurze polskiego oficera, który krążył stale w pobliżu pociągu szukając kontaktów z załogą. Udawał jednak nadal, że zawodzą go wspomnienia.

— Pan Skrobiejczuk — ciągnął dalej nieznajomy Kależak — dał panu kilka adresów w kraju, prosząc o odwiedzenie jego znajomych.

— Zaraz, zaraz, jakieś adresy rzeczywiście dostałem.

— O, przypomina pan sobie.

— Ja wiem — powiedział Mazurkiewicz — o co panu chodzi. Dostałem adresy i nie poszedłem. Po prostu nie miałem czasu. Po tej podróży, przyszła natchmiast druga. Adresy gdzieś się mi zapodziały. Przepraszam.

— Przeciwnie. Był pan. Na Starowiśniej był pan. W Warszawie na Filtrowej.

— Może i byłem. Tyle lat temu...

(Ciąg dalszy nastąpi)